

PRZYKŁADNE

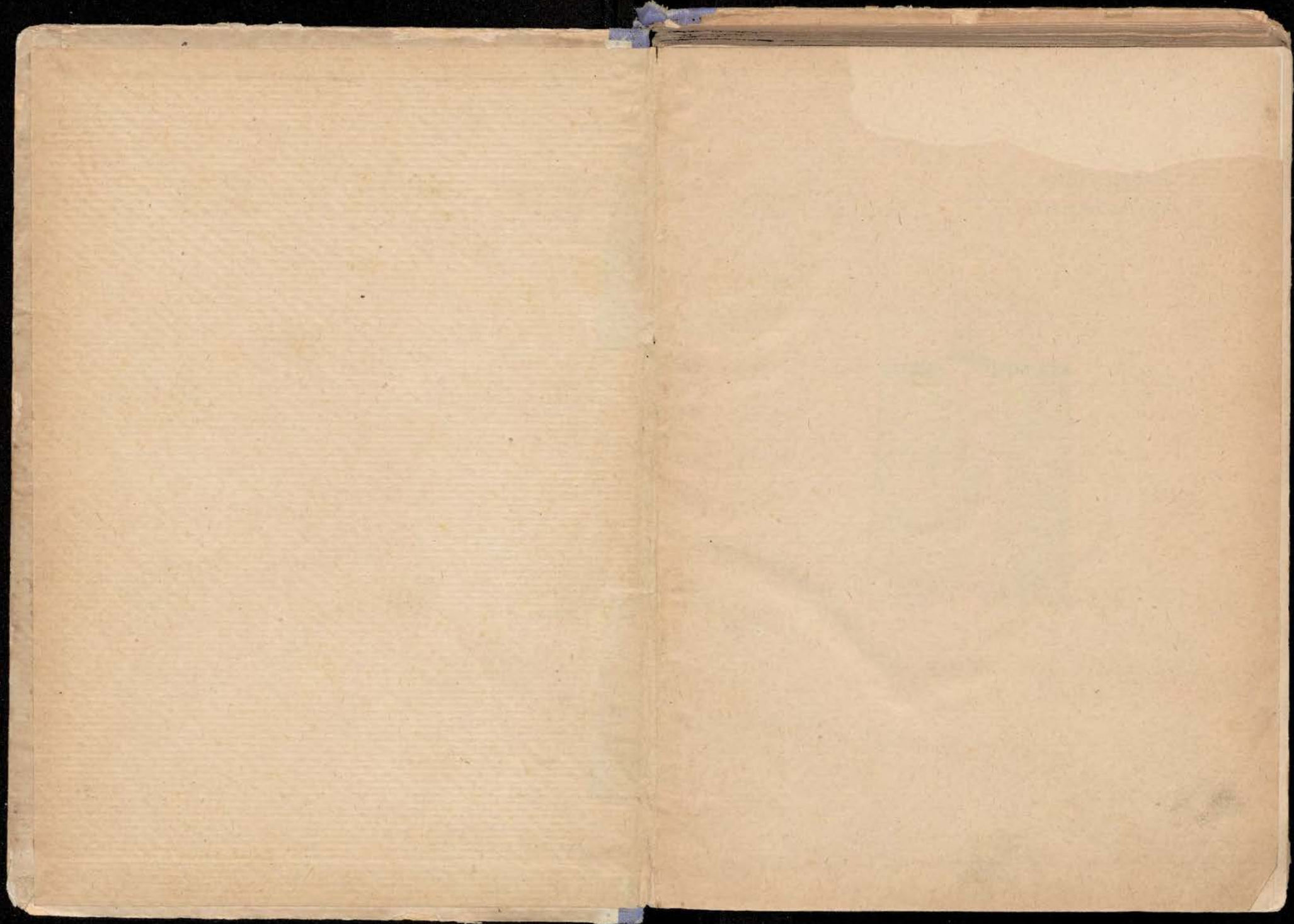
DZIEWCZATKA

ZAJMUJĄCA POWIEŚĆ

DLA PANIENEK

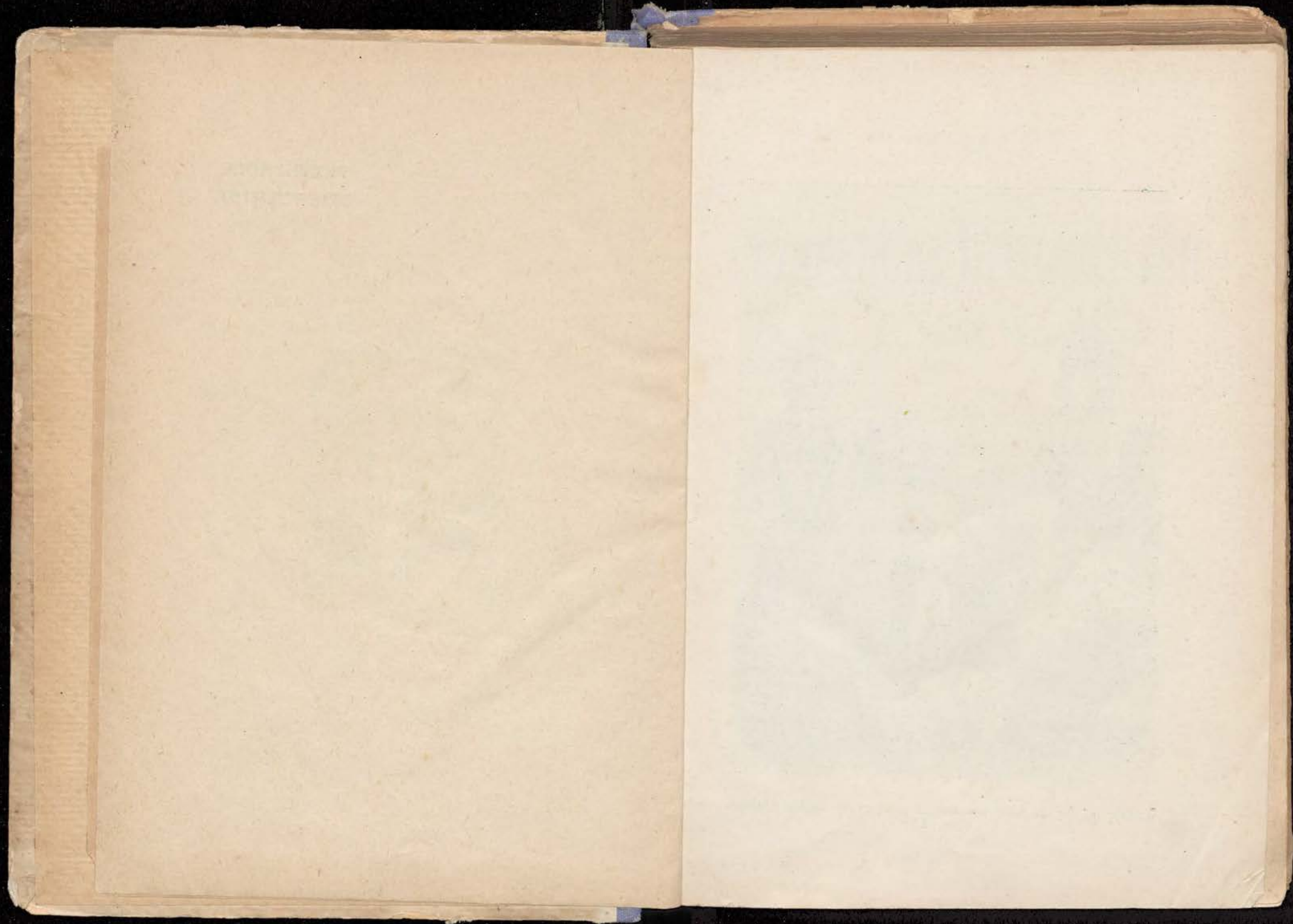


M. STROYNOWSKI



PRZYKŁADNE
DZIEWCZĄTKA







Wydaje mi się, że ktoś przywołuje pomocy — rzekła Madzia,
(Str. 8.)

Hr. de SÉGUR

PRZYKŁADNE DZIEWCZĄTKA

ZAJMUJĄCA POWIEŚĆ dla PANIENEK

WOLNY PRZEKŁAD Z FRANCUSKIEGO
JERZEGO ORWICZA

ILUSTROWAŁ
MARJAN STROYNOWSKI

W A R S Z A W A

WYDAWCA: KSIĘGARNIA Ch. I. ROSENWEINA, MARSZAŁKOWSKA 114.

1 9 2 8.

4 k. il.



399749/
94

840-93

2/352/92

I.

Kamilka i Madzia

Pani Marja F. była matką dwóch miłych i grzecznych dziewczynek, które kochały się bardzo. Często zdarza się widzieć braciszków i siostrzyczki kłócących się, docinających sobie i przychodzących na skargę do rodziców po długich sporach, gdy już nie sposób jest zrozumieć z czyjej strony pochodzi wina. Pomędzy Kamilką i Madzią nigdy nie było żadnego zajścia, czasem jedna, czasem druga ustępowała życzeniu siostry, chociaż nie były podobne do siebie z usposobienia.

Kamilka była o rok starsza od Madzi, mającej lat osiem. Żywsza i bardziej roztrzepana, przekładająca hałaśliwe nad spokojne zabawy, lubiła biegać i robić wiele zamieszania. Najlepiej bawiła się podczas licznego dziecinnego zebrania, które pozwalało jej urządzać gry ulubione.

Madzia wolała cichutko bawić się lalką swoją własną, a również lalkę Kamilki miała

w swej opiece, bez której lalka siostry spędziłaby nieraz noc na krześle, nie zmieniając bielizny ani sukienki w ciągu dni kilku.

Pomimo odmiennych usposobień, dziewczynki były w wielkiej zgodzie. Madzia opuszczała z przyjemnością książkę lub lalkę, jeżeli siostra wyraziła życzenie pójścia na przechadzkę lub pobiegania trochę; Kamusia ze swej strony poświęcała chętnie zamówienie spaceru i gonienia motyli, o ile tylko Magdalenka zapragnęła spokojniejszej zabawy.

Miłe i dobre siostrzyczki czuły się najzupełniej szczęśliwe, matka kochała je bardzo, a wszyscy znajomi starali się dostarczyć im jak najwięcej przyjemności.

II.

Przechadzka i wypadek na gościńcu.

Pewnego dnia Madzia czesała swą lalusię, Kamilka podawała jej grzebienie, układała sukienki i pantofelki, przestawiała łóżeczka lalek, szafy, komódki, krzeselka i stoliki. Urządzała w ten sposób przenosiny,

gdyż „te panie“ czyli lalki zmieniały mieszkanie.

— Zareczam ci, że lalkom daleko lepiej było na dawnym mieszkaniu — zawołała Madzia — miały tam więcej miejsca na swoje meble.

— To prawda — moja droga — ale im się już tamto sprzykrzyło, a przytem im się zdaje, że w tym mniejszym pokoiku będą miały cieplej — zapewniała Kamusia.

— O, co do tego, to się bardzo mylą — odparła Magdalenka — gdyż będą miały drzwi obok, a łóżeczka tuż przy oknie, które również ciepła im nie doda.

— W takim razie niech pomieszkają tu czas jakiś, a potem poszukamy im lepszego kącika. Czy nie masz nic przeciw temu, moja Madziu?

— Ani trochę — odrzekła młodsza siostrzyczka — szczególnie jeśli tobie to sprawia przyjemność.

Gdy Kamilka ukończyła przeprowadzkę lalek, zaproponowała Magdalence, która ubrała już lalki, aby poszły ze służącą na spacer. Zawołały Elizę, zapytując czy chciałyby się przejść z niemi.

— Bardzo chętnie — odrzekła — w jaką stronę pójść mamy?

— Pójdziemy do gościńca, żeby zoba-

czyć przejeżdżające powozy — zawołała Kamilka. — Dobrze, Madziu?

— Naturalnie; a jeżeli zobaczymy tam ubogie kobiety z dziećmi, damy im jałmużnę. Wezmę z sobą pięć groszy.

— O tak, masz słuszną siostrzyczko. I ja wezmę moje dziesięć groszy.

To rzekłszy dziewczynki zadowolone pobiegły przodem, służąca szła za nimi. Zatrzymały się przy ogrodzeniu gościńca i oczekując na przejazd podróżnych, zabawiały się rwaniem kwiatów dla zrobienia z nich wieńców swym lalusiom.

— Słyszę turkot powozu! — zawołała Madzia.

— Jak szybko jedzie! Za chwilę go zobaczymy.

— Wydaje mi się, że ktoś przywołuje pomocy. Nie słyszysz, Kamusiu?

— Nie. Słyszę tylko zbliżający się turkot.

Madzia nie omyliła się, gdyż zaledwie Kamilka wymówiła te słowa, najwyraźniej dały się słyszeć przenikliwe krzyki i w chwilę potem dziewczynki i służąca, oniemiałe z przerażenia, ujrzały powóz ciągniony przez rozhukane konie. Jakaś pani i jej zaledwie czteroletnia córeczka krzyczały wniebogłosy, stangret spadł z kozła, powóz przejechał przez jego ciało, konie puszczone samopas

pędziły przed siebie, jak szalone, wprost do rowu, oddzielającego szosę od ornego pola.

Powóz wywrócił się i wpadł w rów, konie splątane szarpały się, następnie wyleknione dziewczynki usłyszały jęk straszny, poczem wszystko ucichło. Służąca, opamiętawszy się nieco, podbiegła do nieszczęsnych ofiar wypadku. Kamilka i Magdalenka pospieszyły za nią ze drżeniem.

Jeden koń leżał w wodzie, drugi miał nogę złamaną i czynił niemożliwe wysiłki, żeby się podnieść z miejsca.

— Spróbuję otworzyć drzwiczki powozu — rzekła Eliza — ale nie zbliżajcie się tutaj, bo gdyby konie szarpnęły, mogłyby was zabić.

W środku powozu ujrzała panią z dzieckiem zakrwawione, bez ruchu.

— O, mój Boże!... — zawołała Eliza — muszą być ciężko ranne lub nieżywe!...

Kamilka i Magdalenka płakały rzewnie. Eliza miała nadzieję, że matka i dziecko zemdlą z przestrawienia i starała się oderwać małą, którą matka przyciskała mocno do piersi.

Z wysiłkiem udało się jej tego dokonać. Dziecko było blade i ociekające krwią. Nie chcąc położyć go na wilgotnej ziemi, zwróciła się do stojących opodal dziewczątek, zapytując, czy będą miały odwagę i siłę

zanieść dziecinę aż do ławki, stojącej po drugiej stronie ogrodzenia.

— O tak, Elizo — zawołała Kamilka wzruszona — potrafimy ją zanieść. Biedne maleństwo całe we krwi, ale żyje, jestem pewna, że żyje! Daj je nam! Madziu, pomóż mi, proszę.

— Nie mogę, Kamusiu — odparła Madzia głosem słabym i drżącym. Ta krew, ta biedna matka zabita i to dziecko nieżywe odbierają mi siły potrzebne do pomocy. Nie mogę, doprawdy nie mogę, — dodała wybuchając płaczem.

— A więc zaniosę sama — rzekła Kamilka. — Starczy mi sił, ponieważ tak uczynić należy. Dobry Bóg mi dopomoże.

To mówiąc, podniosła bezwładną dziecinę, ujęła ją w ramiona i pomimo tego ciężaru zbyt wielkiego na jej lata, starała się wydostać z rowu, ale pośliznęła się i omal nie upuściła malutkiej na ziemię. Madzia, przemógłszy swój lęk, rzuciła się na pomoc siostrze i obie razem wydobyły się na równą powierzchnię drogi i doniosły dziecko do ławki przez Elizę wskazanej.

Zmęczyły się bardzo i oddychały z trudem. Kamilka położyła dziecię na swych kolanach, Madzia zaczerpnęła wody i podała siostrze, a ta zmyła krew z twarzy malutkiej dziewczynki i otarła chusteczką. Rado-

sny okrzyk wyrwał się z jej piersi, gdy dostrzegła, że mała nie jest raniona.

— Madziu, moja złota, chodź prędzej! Malutka żyje!... Westchnęła głęboko!... Tak tak, oddycha!... Otwiera oczki!...

Madzia przybiegła natychmiast. Dziecina istotnie powracała do życia i spoglądała dokoła siebie z minką wystraszoną.

— Mamusiu! Gdzie mamusia? Chcę widzieć mamusię! — wołała z płaczem.

— Mamusia zaraz przyjdzie — odrzekła Kamilka, całując dziecinę. — Nie płacz, zostań ze mną i moją siostrzyczką Madzią.

— Nie, nie, chcę do mamusi, — upierała się mała. — Te niegodziwe konie zabrały mamusię i poniosły daleko!

— Niegodziwe konie wpadły w wielki otwór, wcale mamusi twojej nie poniosły daleko. Patrz, oto nasza służąca, Eliza, niesie twoją mamusię, która śpi.

Eliza przywoławszy dwu przechodzących drogą ludzi, wyciągnęła z powozu zemdloną kobietę, mającą głęboką ranę w głowie. Twarz, szyja i ramiona oblane miała krwią, ale serce jej biło słabo. Eliza posłała natychmiast jednego z pomagających jej ludzi do dworu, aby zawiadomić matkę Kamilki i Madzi o zaszłym wypadku i poprosić o przysłanie służby dla zanieśienia rannej pani i jej córeczki oraz poratowania stan-

greta, leżącego na drodze. Trzeba było również zająć się końmi, które szarpały się w błocie i wspinały na powóz.

W kwadrans potem przybyła pani Marja z kilku ludźmi i zaprzężonym powozikiem, w którym ostrożnie ułożono nieznaną, poczem zajęto się rannym stangretem, który też dawał znaki życia; podniesiono wreszcie powóz wywrócony i rozplątano konie.

Małeństwo tymczasem zupełnie się uspokoiło, nie miało żadnej rany, omdlenie spowodowane było strachem i wstrząśnięciem podczas upadku.

W obawie, aby widok matki zakrwawionej nie uczynił na malutkiej zbyt silnego wrażenia, dziewczątka prosiły, żeby wolno im było odprowadzić ją pieszo do domu. Dziecko oswoiło się już z Kamilką i Madzią, które przemawiały doń pieszczotliwie i myślc, że mamusia zasnęła, zgodziło się chętnie pójść z niemi.

W drodze dziewczątka rozpytywały malutką jak jej na imię i dowiedziały się, że zowią ją Małgosią albo Stokrotką.

— A mamusia jak się nazywa?

— Moja mamusia nazywa się mamusia — odpowiedziała malutka.

— Ale powiedz, jakie nosi nazwisko?

— Nazwisko? Mamusia i już.

— Przecież służąca nie nazywa jej mamusią! — zawołała Madzia ze śmiechem.

— Służący mówią do mamusi: pani.

— Daj pokój, Madziu, nie dowiesz się od niej nic więcej, bo jest jeszcze za mała. Powiedz mi, Stokrotko, dokąd jechałaś teraz z mamusią, gdy te niegodziwe konie wciągnęły was do rowu?

— Jechałyśmy do cioci. Nie lubię tej cioci, bo jest zła i zawsze się gniewa! Wolę być z mamusią i z wami, — dodała całując kolejno obie dziewczynki, które ją uściśniły nawzajem.

— A jak wy się nazywacie? — zapytała Stokrotka swych opiekunek.

— Ja mam na imię Kamila, a moja siostrzyczka Magdalena.

— Będziecie teraz moje mamusie. Mamusia Kama i mamusia Magdalenka! — zawołała Stokrotka wesoło.

Tak rozmawiając, zbliżyły się do pięknego dworu, wyprzedzone już przez panią Marję, która natychmiast posłała po lekarza i ułożyła chorą na wygodnem pościeliu. Zawiązano jej dokładnie ranę, żeby powstrzymać upływ krwi i powoli odzyskiwała przytomność. Poprosiła zaraz, żeby jej przyprowadzono córeczkę, która weszła cichutko, na palcach, gdyż uprzedzono ją, że mamusia jest chora.

Kamilka i Madzia wsunęły się za nią.

— Biedna mamusia! Czy mamusię główka boli?—pytała Stokrotka podbiegając do matki:

— O tak, dziecinko, bardzo boli.

— Będę siedziała przy mamusi.

— Nie, dziecko drogie, pocałuj mnie tylko i idź bawić się z temi miłemi dziewczynkami, które przyszły z tobą. Widzę z ich oczu, że są bardzo dobre.

— O tak, mamusieńko. Bardzo dobre! Kamilka dała mi swoją lalkę, śliczną lalusię! A Madzia przyniosła mi doskonałe bułeczki z konfiturami.

Stokrotka opowiadałaby jeszcze długo o swych radościach, ale pani Marja weszła do pokoju chorej i widząc, że jest podniecona, radziła Stokrotce pójść z małemi „mamusiami“, żeby starsza mamusia mogła wyspać się trochę.

Dziecinka usłuchała i, pocałowawszy serdecznie matkę, poszła z dziewczątkami.

III.

Stokrotka.

— Bierz, co ci się tylko podoba i baw się naszymi zabawkami—mówiła Madzia do Stokrotki.

— Jakie śliczne lalki!.. A ta jedna taka duża, jak ja!—wołała Stokrotka z zachwytem. —A tamta leży w łóżeczku, pewno chora tak jak moja mamusia!.. Ach! jaki piesek!.. Zupełnie jak żywy. I osiołek także ładniutki. Co tu jest małych talerzyków, filiżanek, łyżeczek i widelców!.. I nożyki są także. Ach, jaki mały omnibus, komódka pełna sukienek, pończoszek, koszulek lalczynek... Jak wszystko porządnie poukładane. Ile książeczek z obrazkami! Pełna szafka!

Kamilka i Madzia śmiały się, widząc zachwyty Stokrotki, przebiegającej od jednej zabawki do drugiej, nie wiedząc po którą sięgnąć i zatrzymując się wkońcu na środku pokoju, klaszcząc w rączki z wielkiego uradowania. Wreszcie wzięła omnibus zaprzęzony w cztery konie i prosiła dziewczątko, żeby poszły z nią do ogrodu, gdzie można będzie wozić go po alejach.

Pobiegły wszystkie trzy, bawiąc się wesoło, ale wkrótce zaprząg wyrócił się, wszystkie lalki siedzące w omnibusie powypadały na ziemię, a szkła w oknach potłuły się z hałasem.

— O mój Boże, mój Boże!—wołała Stokrotka płacząc—zepsułam zabawkę Kamilki! Już nigdy więcej tego nie zrobię.

—Nie płacz, moja Stokrotczko—uspokajała

ją Kamilka.—Wszystko się naprawi. Posadzi-
my lalusie do środka, a potem poproszę ma-
musię, żeby kazała wstawić nowe szkiełka
do omnibusu.

— A jeżeli lalusie tak główka boli, jak mo-
ją mamę? — pytała Stokrotka.

— Niema obawy! One mają wszystkie
twarde i mocne głowy, — mówiła Madzia z
przekonaniem.— Patrz, już wszystkie siedzą
na swych miejscach i mają się doskonale.

— Tem lepiej—zawołała Stokrotka—ba-
łam się, by wam nie zrobić przykrości.

Zaprząg potoczył się znowu po alei, ale
tym razem Stokrotka wiozła go bardzo ostroż-
nie, miała bowiem dobre serduszko i nie
chciała za nic w świecie zrobić krzywdy ni-
komu, zwłaszcza swym małym przyjaciółkom.

Zawołano je wkrótce na obiad, poczem
Stokrotka położyła się spać, gdyż ogromnie
czuła się zmęczona.

VI.

Zamiar wspólnego pożycia.

Podczas zabawy dzieci w ogrodzie, przy-
był lekarz i opatrzywszy chorą, nie znalazł

nic niebezpiecznego, zalecił tylko spokój i
przepisał okłady.

Stokrotka kilka razy dziennie odwiedzała
matkę, ale zawsze na krótko, gdyż jej żywość
i ustawiczny szczebiot męczyły nieco chorą.
Natomiast obecność pani Marji i jej starania
sprawiały prawdziwą ulgę powracającej do
zdrowia, która z żalem mówiła o koniecz-
ności prędkiego z nią rozstania.

— A dlaczegoż miałybyśmy rozstać się
droga pani — rzekła pani Marja z właściwym
sobie serdecznym uśmiechem.—Córeczki na-
sze tak się pokochały i ja byłabym pani nie-
zmiernie wdzięczna, gdyby pani przyrzekła,
że nas tak rychło nie opuści.

— Możeby to było niewłaściwe ze wzglę-
du na rodzinę pani... szepnęła chora.

— Bynajmniej. Od czasu śmierci męża,
który poległ na wojnie, mieszkam na wsi w zu-
pełnej samotności. Pani również niema do-
tąd wiadomości od męża swego, od kiedy
udał się w podróż morską.

— O tak — odrzekła chora. — Prawdopo-
dobnie okręt zatonął, gdyż od lat dwóch, po-
mimo wszelkich poszukiwań mego brata, któ-
ry jest także marynarzem, nie udało się od-
szukać żadnych śladów ani wieści o moim mę-
żu i jego towarzyszach. O ile więc niema pani
nic przeciw temu, zgodziłabym się chętnie

mieszkać z nią razem i moją malutką widzieć pod opieką jej miłych córeczek.

—A więc, droga pani, rzecz jest postanowiona. Zaraz oznajmię tę radosną nowinę moim dziewczątkom, które będą nią ucieszone.

I to mówiąc, pani Marja pośpieszyła do dziecinnego pokoju, w którym Kamilka i Madzia odrabiały swe lekcje bardzo uważnie, a Stokrotka bawiła się lalkami, opowiadając im cichutko bajeczki, żeby nie przeszkadzać starszym dziewczynkom.

Gdy matka powiedziała dzieciom o powstałym projekcie zatrzymania gości na czas dłuższy u siebie, dziewczynki nie posiadały się z radości, a Stokrotka przytuliła się do pani Marji jak do kogoś bardzo bliskiego.

— Dzieci kochane, rzekła pani Marja, — jeżeli chcecie mię uszczęśliwić, jak to czyniłyście dotąd, starajcie się podwoić jeszcze gorliwość w pracy, posłuszeństwo mamie i uprzejmość między sobą. Stokrotka jest młodszą od was, więc na was leżeć będzie obowiązek wychowywania jej według wskazówek jej matki i moich. Chcąc, żeby była grzeczna, trzeba koniecznie udzielać jej rad dobrych, a przede wszystkim zachęcać własnym przykładem.

— Niech mamusia będzie spokojna — odezwiała się Kamilka — wychowamy Stokrot-

kę tak starannie, jak mamusia nas wychowuje. Będę ją uczyła pisać i czytać, a Madzia wskaże jak należy porządkować i wszystko kłaść na miejscu. Nieprawdaż, Madziu?

— Ma się rozumieć — odrzekła zapytana. — Zresztą Stokrotka jest tak łagodna i grzeczna, że nie będziemy miały dużo kłopotu z taką uczennicą.

— Postaram się być zawsze bardzo grzeczną! — zawołała Stokrotka, całując kolejno to jedną, to drugą dziewczynkę. — Obiecuję być posłuszną, żebyście były ze mnie zawsze zadowolone.

— A więc proszę cię, moja droga, abyś pobiegała godzinkę po ogrodzie, jak ci doradzałam — rzekła Kamilka. — Od kiedy zaczęłyśmy lekcje, nie wychodziłaś wcale z pokoju. Jeżeli będziesz wciąż siedziała, stracisz kolorki na twarzy i możesz się rozchorować.

— O, Kamilko! proszę cię, pozwól mi zostać tutaj. Tak cię bardzo kocham!... — mówiła Stokrotka przymilnym głosem.

Kamilka gotowa już była ulec prośbie dziecka, ale Madzia, przewidując to, postanowiła zmusić Stokrotkę do posłuszeństwa, wiedząc o tem, że raz ustępując naleganiom trzebaby potem nieraz spełnić jej wolę. Wzięła więc Stokrotkę za rączkę i otwierając drzwi, powiedziała:

— Kamusia już dwa razy powtórzyła ci, że

masz iść do ogrodu, a ty prosisz wciąż o pozostanie choć małą chwileczkę. Siostrzyczka moja jest tak uprzejma, że cię słucha, ale tym razem życzymy sobie, byś wyszła. Jeżeli więc Stokrotka pragnie być grzeczną, jak to przed chwilą przyrzekła, powinna być posłuszna. Idź więc moja malutka, a za godzinę do nas powrócisz.

Stokrotka spojrzała błagalnym wzrokiem na Kamilkę, która wyczuwała doskonale, że siostra ma słuszość, ale nie miała odwagi podnieść oczu, by nie spotkać się ze spojrzeniem dziecka i nie dać się wzruszyć.

Stokrotka, widząc, że musi poddać się konieczności, wyszła z wolna i skierowała się do ogrodu.

Pani Marja wysłuchiwała całej tej scenki w milczeniu, poczem zbliżywszy się do Madzi ucałowała ją serdecznie.

— Dobrze postąpiłaś, moje dziecko—rzekła z uśmiechem.—A ty, Kamilko, trzymaj się mocno, czyń tak samo, jak twoja siostrzyczka. To rzekłszy, wyszła z pokoju.

V.

Kwiaty zerwane i zastąpione nowymi.

— O mój Boże! Jakże nudno biegać tak samej jednej! myślała Stokrotka, rozglądając

się po ogrodzie. I dlaczego Madzia zmusiła mnie wyjść z pokoju? Kamilka byłaby pozwoliła pozostać, widziałam to dobrze po jej minie. Najlepiej mi jest z nią razem, bo ona pozwala robić co mi się podoba. Bardzo kocham Kamilkę. I Madzię też kocham, ale więcej lubię bawić się z Kamilką. Coby tu wynaleźć do roboty? Aha! Wiem już. Mam pomysł. Oczyszczę i pozamiatam im mały ogródek.

Stokrotka pobiegła co tchu w stronę ogródka dziewczynek, pozbierała i pozmiatała suche liście i poczęła przyglądać się kwiatom. Nagle przyszło jej do głowy zrobić piękny bukiet dla Kamilki i Madzi.

— Jakże się one ucieszą...— rzekła do siebie Zerwę wszystkie kwiaty i zaniosę im, żeby postawiły bukiet w pokoju. Będzie ślicznie pachniało.

Uradowana swym pomysłem, Stokrotka rwała gwoździki, lewkonje, róże, rezedę, jaśminy, wszystko jednym słowem, co jej padło pod rękę i rzucała do fartuszka, którego końce trzymała paluszkami. Pęk kwiatów zwiększał się co raz bardziej, niektóre z nich nie miały prawie łodygi, złamane przy samej koronie. Kiedy już wszystkie kwiaty rzucone zostały do fartuszka, Stokrotka wbiegła pośpiesznie do pokoju, w któ-

rym uczyły się dziewczynki i zawołała z minką rozpromienioną:

— Patrzcie, co wam przynoszę! Prawda, jakie śliczne kwiateczki.

To mówiąc ukazała cały snop zawiniętych, nawpół opadłych kwiatów.

— Zerwałam je dla was, żebyście postawiły na stole i żeby wam tu pachniało jak w ogrodzie.

Kamilka i Madzia spojrzały na siebie z uśmiechem. Ogarnęła je wesołość na widok tej zmiętoszonej zieleni i triumfującego wyrazu Stokrotki. Roześmiały się na głos, widząc ją zasepioną i przygnębioną, gdy łodygi opadły z fartuszka na podłogę. Stokrotka stała nad nimi bez ruchu z buzią na wpół otwartą i patrzyła na śmiejące się dziewczynki, nie mogąc zrozumieć co się stało.

— Gdzieżeś narwała tyle kwiatów? zapytała wreszcie Kamilka.

— W waszym ogródku — odpowiedziała Stokrotka.

— W naszym ogródku! — zawołały obie siostry z przerażeniem.

— Tak, zerwałam wszystkie kwiaty i nawet pączki.

Dziewczynki nie miały już ochoty do śmiechu. Stokrotka sprawiła im niechcący ogromną przykrość, zamierzały bowiem ofiarować matce na imieniny olbrzymi bukiet

z kwiatów przez siebie wyhodowanych. Za dwa dni właśnie przypadają imieniny, a oto cały zamiar spełził na niczem. Nie miały jednak odwagi czynić wymówek Stokrotce która była pewna, że im zrobi przyjemną niespodziankę. Mała dostrzegła jednak strapienie, malujące się na twarzach obu siostrzyczek, zrozumiała że stało się coś złego i poczęła głośno płakać.

Madzia przemówiła wreszcie w te słowa.

Moja Stokrotko kochana, przestrzegaliśmy cię nieraz, że nie powinnaś niczego dotykać bez pytania. Poniszczyłaś nam wszystkie kwiaty i zrobiłaś nam tem wielką przykrość, bo chciałyśmy z nich ułożyć wiązanekę dla naszej mamusi, a teraz nie mamy nic do ofiarowania jej na imieniny.

Stokrotka płakała coraz rzewniej.

— Nie gniewamy się na ciebie — odezwiała się Kamilka — wiemy, że nie zrobiłaś tego w chęci dokuczenia nam, ale pragnęłaś naszej przyjemności, widzisz jednak jak to brzydko jest nie słuchać starszych.

Stokrotka płakała wciąż i szlochała zcicha.

— Pociesz się i uspokój, moja maleńka, — rzekła Madzia całując Stokrotkę, — widzisz przecie, że jesteśmy dobre dla ciebie...

— Tak, tak, jesteście aż nadto dobre, — mówiła Stokrotka przez łzy — ale zasmuciłam

was i to mnie boli... Przepraszam, bardzo przepraszam. Kamilko, Madziu, już nigdy, nigdy nic takiego nie zrobię!...

Dziewczątka starały się pocieszyć dziecko rozżalone. W tej chwili weszła pani Rosburgowa, matka Stokrotki i zatrzymała się zdziwiona, widząc zaczerwienione od płaczu oczęta dziecka.

— Co to się stało? zapytała. Czy Stokrotka co spsociła?

— O nie, proszę pani, pocieszamy ją— odrzekła Madzia.

— Dlaczego?

— Bo, bo...—zająknęła się Stokrotka, nie mogąc dokończyć.

— Pocieszamy ją...—rozpoczęła Kamilka i również zamilkła nagle.

— Wytłumacz mi sama, dziecko drogie, czego płaczesz i dlaczego cię one pocieszają?— powiedziała matka, zwracając się do Stokrotki.

— Byłam bardzo niegrzeczna, mamusiu złota—zawołała Stokrotka, rzucając się matce na szyję.—Zrobiłam wielką przykrość Kamusi i Madzi, ale doprawdy zupełnie niechcący. Zerwałam wszystkie kwiatki w ich ogródku i nie będą miały co dać swej mamusi na wiązanie. Ale one są tak dobre, że nietylko mnie nie strofują, lecz uściskały i pocieszają

— Bardzo szczęśliwie się stało, że wy-

znałaś mi prawdę—odpowiedziała pani Rosburgowa.—Staraj się być tak dobra i pobłażliwa, jak twoje przyjaciółki, a będziesz przez wszystkich kochana.

To mówiąc, ucałowała wszystkie trzy dziewczynki i wyszedłszy z dziecinnego pokoju, zadzwoniła na służącego, by kazał zaprząć konie.

W pół godziny potem matka Stokrotki jechała w stronę pobliskiego miasteczka, a przybywszy tam, udała się do miejscowego ogrodnika, posiadającego dobór najpiękniejszych kwiatów i wybrawszy kilkanaście doniczek, kazała je zawieźć do ogrodu pani Marji. Tam miano wskazać, gdzie mają być umieszczone.

— Chciałabym, żeby przywieziono te kwiaty o świcie, chodzi mi oto, by ich nie zauważono i żeby dziewczątkom zrobić miłą niespodziankę.

— Niech pani będzie spokojna, wszystko będzie zrobione, tak jak pani sobie życzy— odpowiedział uprzejmie właściciel kwiatowego sklepu.

Młoda kobieta, nie targując się, zapłaciła żadaną sumę i odjechała, wydawszy służącemu rozporządzenie, aby kwiaty przywiezione przez ogrodnika zasadzono w ogródku Kamilki i Madzi.

Podczas nieobecności pani Rosburgowej

dziewczątka udały się do ogrodu, żeby sprawdzić na miejscu rozmiar kłęski.

— Może pozostało jeszcze trochę kwiatów — myślała Kamilka — gdybyż przynajmniej starczyło chociaż na małą wiązanekę.

Niestety, nic nie ocalało. Obie siostry patrzyły ze smutkiem na swój pusty ogródek. Stokrotka miała ochotę do płaczu.

— Niema rady — szepnęła Madzia. Musimy postarać się o jakiegokolwiek rośliny, które rozkwitną później.

— Kupcie kwiaty za moje pieniądze — zawołała Stokrotka — mam trochę w skarbonce.

— Zachowaj je dla ubogich — odrzekła Madzia.

— Przyrzeknijcie mi, że jeżeli wam zabraknie do kupna kwiatów, to weźmiecie moje oszczędności, prosiła Stokrotka.

— Dobrze, dobrze, moja mała, nie myślmy już o tem i przygotujmy rabaty na posadzenie nowych roślin.

Wszystkie trzy zabrały się do roboty. Stokrotka miała sobie polecone wyrwanie badyli i wywiezienie ich na taczce; Kamilka i Madzia kopały żarliwie; wielkie krople potu spływały im z czoła.

Matka Stokrotki zastała je przy tej pracy i zawołała z uśmiechem:

— Jak widzę pracujecie nie na żarty!

Ogródek skopany doskonale! Kwiaty wyrosną tu same, jestem pewna.

— Niezadługo będziemy miały co zrywać — odpowiedziały dziewczynki.

— Nie wątpię o tem, gdyż Bóg miłosierny wynagradza zawsze takie dobre dziewczątka, jakimi wy jesteście.

Skończywszy swe zadanie, Kamilka, Madzia i Stokrotka złożyły ogrodnicze narzędzia i bawiły się całą godzinę w pobliskim gaju.

Zadzwoniono na obiad i wszyscy zasiedli do stołu.

Nazajutrz po śniadaniu dzieci pobiegły do swego ogródka, chcąc go doprowadzić do porządku.

Kamilka przybyła pierwsza. Jakież było jej zdumienie, gdy ujrzała moc ślicznych kwiatów na pustych wczoraj rabatach.

Madzia i Stokrotka patrzyły również ze zdziwieniem, nie mogąc zrozumieć w jaki sposób wyrosły i rozkwitły w jedną noc te pachnące wspaniałe kwiaty.

Dwie mamusie zbliżyły się, słysząc radosne okrzyki dzieci i wyjaśniła się wnet tajemnica. Radość i wdzięczność dziewczątek nie miały granic. Stokrotka czuła się jeszcze więcej uszczęśliwiona niż Kamilka i Madzia, gdyż przykrość im wyrządzona ciążyła jej bardzo na sercu.

W dzień imienin pani Marji wszystkie

trzy razem ofiarowały jej prześliczny bukiet, a także mamusia Stokrotki dostała wspaniałą wiązaną pachnących kwiatów, jako dowód wdzięczności za dar tak dobrze pomyślany.

VI.

W ROK PÓŹNIEJ.

Pies wściekły.

Pewnego dnia Stokrotka i Madzia bawiły się przed domem pod sosną rozłożystą. Wielki pies czarny zwany Kalo — leżał przy nich. Stokrotka zajęta była wkładaniem mu na szyję obroży z kwiatów. Wianuszek ten uwiła właśnie Kamilka z jakiegoś kwiecia. Ale pies bronił się od tej ozdoby i jak tylko wieniec przeszedł do połowy łba, wstrząsał nim i wieniec spadał na ziemię.

Stokrotka groziła mu nadąsana:

— Ejże, Kalo, jeśli jeszcze raz zrzucisz, to ci dam porządnego klapsa!

Następnie podnosiła wianek, wołając:

— Spuść zaraz łeb!

Kalo spuszczał głowę z miną obojętną. Stokrotka wciskała mu przyciasny wianuszek

na łeb, a pies, wstrząsnawszy się, pozbywał się go w jednej chwili.

— Brzydkie stworzenie! głupie, nieposłuszne, — wołała Stokrotka, uderzając go zlekką po głowie.

Jednocześnie jakiś pies żółty, zbliżywszy się znienacka, ugryzł Kalo. Stokrotka chciała go odpędzić, ale pies rzucił się na nią i ukąsił w rączkę, poczem pobiegł dalej ze spuszczonym ogonem i nachyloną głową.

Stokrotka i Madzia zerwały się na równe nogi, słysząc krzyk dziecka. Kamusia gonila wzrokiem, oddalającego się psa żółtego i szepnąwszy parę słów Madzi na ucho, pobiegła do matki.

— Mamusiu, — rzekła cicho, — Stokrotkę pies wściekły ukąsił!

Pani Marja zerwała się z krzesła.

— Zkąd wiesz, że wściekły? — zawołała.

— Domyśliłam się po jego wyglądzie, a przytem pokąsał Kalo, a następnie Stokrotkę, nie szczeknąwszy nawet. Kalo zamiast bronić się, rozciągnął się na ziemi bez ruchu.

— Może masz słuszość, moje dziecko. Jakież to nieszczęście, o mój Boże! Trzeba obmyć zaraz starannie miejsce ukąszone w wodzie czystej, a następnie w słonej.

— Madzia zaprowadziła Stokrotkę do kuchni — rzekła Kamilka.

Pani Marja pośpieszyła opatrzyć ranę,

przemysła ją słoną wodą, pomimo obaw małej, że sól będzie bardzo gryzła. Przez czas pewien ukrywano cały wypadek przed matką Stokrotki, dopiero po wezwaniu lekarza gdy się okazało, że pies nie był wściekły i strach był przedwczesny, opowiedziano jak się rzecz miała.

VII.

Kamilka ukarana.

Niedaleko siedziby pani Marji mieszkała zamożna wdowa z pozostawioną pod jej opieką pasierbicą, sześciolletnią Zosieńką. Sąsiadki bywały u siebie od czasu do czasu.

Pewnego dnia Kamilka, Madzia i Stokrotka wyszły na przechadzkę niedaleko domu i spotkały powóz, z którego wysiadła otyła dama z małą dziewczynką.

— Dzień dobry Zosiu! Dzień dobry pani!—wołały siostrzyczki, witając gości.

— Weźcie z sobą Zośkę—odpowiedziała dama—a ja pójdę odnaleźć waszą mamę. Proszę tylko bardzo, żeby Zosia była grzeczna — dodała tonem ostrym, zwracając się do pasierbicy—w przeciwnym razie dostaniesz w domu baty.

Zosia spuściła oczy w milczeniu.

Macocha zbliżyła się do niej, oczy jej błyszczały gniewem.

— Cóż to? Nie możesz nic odpowiedzieć? Czy nie słyszysz, że mówię do ciebie?—zawołała niecierpliwie.

— Dobrze mam, będę grzeczna,—szepnęła Zosia.

Macocha rzuciła na nią pełne złości spojrzenie, poczem odwróciła się i weszła na ganek.

Kamilka i Madzia spoglądały zdziwione, a Stokrotka ukryła się za wielkim krzakiem pomarańczowym.

Kamilka pożałowała strofowanej dziewczynki i zapytała ją zcicha:

— Dlaczego macocha pogniewała się na ciebie? Czy zrobiłaś coś złego?

— Ona zawsze jest taka, odrzekła Zosia wzruszając ramionami.

— Chodźmy do naszego ogródka, tam będzie nam najlepiej — wtrąciła Madzia, Stokrotko, chodź z nami.

— Zkąd-że tu ta mała? Nigdy jej u was nie widziałam—rzekła przybyła.

— Jest to nasza przyjaciółeczka, bardzo grzeczna dziewczynka — odparła Kamilka. — Nie widziałas jej, gdyż była chora wtedy, gdyś my z mamą jeździły do was. Mam nadzieję, że ją polubisz. Nazywa się Stokrotka.

Madzia opowiedziała Zosi o strasznym wypadku na gościńcu i o zawartej w ten sposób znajomości.

Zosia uścisnęła Stokrotkę, poczem wszystkie cztery pobiegły do ogrodu.

— O! Jakież macie kwiaty wspaniałe, daleko ładniejsze niż moje. Zkąd takie śliczne gwoździki i róże? Jak cudnie pachną!

— To mamusia Stokrotki obdarzyła nas temi kwiatami.

— Ostrożnie, Zosieńko! Depcesz poziomki! Cofnij się nieco — zawołała Stokrotka, chwytając ją za sukienkę.

— Dajże mi pokój! Chcę powąchać róże — odburknęła Zosia.

— Ależ nie można deptać poziomki Kamilki — broniła Stokrotka własności przyjaciółki.

— A ja ci powiadam odejdz, mały głup-tasku! — krzyknęła Zosia.

Ponieważ Stokrotka, chroniąc krzak poziomki, trzymała nóżkę Zosi obu rączkami. Zosia kopnęła ją tak mocno, że Stokrotka upadła odrzucona o parę kroków.

Kamilka, oburzona takim postępowaniem, poskoczyła ku przybyłej i uderzyła ją w twarz. Zosia poczęła krzyczeć, Stokrotka płakała, Madzia starała się uspokoić obie, Kamilka zarumieniona wstydziła się swej popędliwości. W tej chwili wszystkie trzy pa-

nie nadeszły, a macocha Zosi, słysząc jej krzyki, wymierzyła jej policzek.

— To już dwa!... To już dwa! — krzyczała Zosia.

— Jakie dwa? Co ty gadasz? — wpadła na nią macocha.

— Dwa razy dostałam po buzi! — wołała Zosia rozżalona.

— Masz drugi raz, abyś nie kłamała! I to mówiąc, macocha uderzyła ją powtórnie.

— Zosia nie kłamie, proszę pani, to ja uderzyłam Zosię po twarzy.

Wszystkie panie spojrzwały ze zdumieniem na Kamilkę, a matka jej zapytała:

— Jakto? Czy podobna, żebyś ty Kamusiu, taka dobra dziewczynka uderzyła swego gościa?...

— Tak, mamusiu, uderzyłam Zosię — odpowiedziała Kamilka, spuszczaając oczy.

Pani Marja spojrzała na nią surowo:

— Co było powodem, żeś się uniosła i postąpiła tak brutalnie? — zapytała matka.

— Bo... bo... — szeptała Kamilka i utkwiała wzrok w Zosi, która patrzyła na nią błagalnie—bo... —rzekła wreszcie— Zosia po-deptała mi poziomki.

— Nie za to, nie! — zawołała Stokrotka — uderzyła, chcąc mnie...

— Tak było jak powiedziałam — prze-
rwała Kamilka, a nachylając się ku Stokrot-
ce szepnęła: — Milcz, proszę!

— Nie chcę, żeby cię źle sądzono —
odpowiedziała Stokrotka również cicho—prze-
cież stanęłaś w mojej obronie i dlatego...

— Proszę cię bardzo, żebyś nie mó-
wiła nic o tem, dopóki macocha Zosi nie
wyjedzie.

Na te słowa Kamilki, Stokrotka zamilkła
odrazu i pocałowała ją ukradkiem w rękę.

Pani Marja zrozumiała, że musiało na-
stąpić coś ważniejszego niż podeptanie krza-
ku poziomek, jeżeli łagodna zazwyczaj Ka-
musia wpadła w gniew niebывały, ale że
nie chciano powiedzieć całej prawdy przez
względ na surowość macochy. W każdym
razie czuła się w obowiązku okazać swoje
niezadowolenie i ukarać córeczkę za jej po-
stępek.

— Idź do swego pokoju — rzekła do
Kamilki — nie zejdiesz na obiad i nie do-
staniesz leguminy ani owoców.

Kamusia zalana łzami, przed odejściem
zbliżyła się do Zosi, mówiąc:

— Przepraszam cię bardzo, Zosieńko,
już nigdy nic podobnego się nie zdarzy.

Zosia, która w gruncie rzeczy złą nie
była, uściskała Kamilkę i szepnęła jej na
ucho:

— Dziękuję ci bardzo, żeś nie po-
wiedziała wszystkiego. Gdyby moja macocha
usłyszała o tem, że odtrąciłam tak mocno
tę małą, z pewnością obitałaby mnie aż do
krwi.

Kamilka poszła, płacząc, ku domowi,
Madzia i Stokrotka płakały też rzewnie,
współczując ukaranej. Stokrotka miała wiel-
ką ochotę opowiedzieć szczerze całą przy-
godę dla zmniejszenia winy Kamilki i wytłu-
maczenia jej przed mamusią, ale przypo-
mniała sobie, że Kamilka usilnie nakazywała
milczenie.

— Wstrętna ta Zosia — mówiła sobie
w duchu — to ona jest powodem zmartwie-
nia biednej Kamuchny!... Nie cierpię Zosi!...

Powóz zajechał przed ganek i przybra-
na matka pociągnęła za sobą Zosię, poże-
gnawszy się z paniami. Zaledwie odjechały
kilka kroków, już dały się słyszeć rozpaczli-
we krzyki dziecka, które macocha szarpnęła
mocno za włosy.

Zostawszy same, Madzia i Stokrotka
pośpieszyły opowiedzieć swym mamusiom
dlaczego Kamilka tak się rozgniewała na
Zosię.

— To wyjaśnienie zmniejsza poniekąd
jej winę—odrzekła pani Marja— nie mniej
jednak postąpiła bardzo niewłaściwie, nie
umiejąc zapanować nad sobą i uderzając

młodsza od siebie dziewczynkę, która przybyła w odwiedziny. Pozwalam, żeby zeszła na obiad, ale ani leguminy, ani owoców nie dostanie.

Madzia i Stokrotka pobiegły wnet oznajmić Kamusi, że zasiądzie ze wszystkimi razem do obiadu, ale mamusia nie pozwoliła jej spożywać przysmaków, które będą podane. Kamilka westchnęła głęboko.

Trzeba wyznać, że ta miła dziewczynka miała jedną wadę, była ogromnie łakoma, lubiła słodycze, a przedewszystkiem nie mogła patrzeć obojętnie na owoce. Wiedziała, że tego dnia właśnie miano podać po obiedzie wspaniałe śliwki i winogrona, przysłane przez wujka. Jakże to przykro wyrzec się tych wybornych owoców, jakich jeszcze w tym roku nie próbowano...

Miała pełne łez oczy, wobec czego Madzia spytała troskliwie:

— Taka jesteś smutna, moja Kamuchno, czy z powodu tego zakazu?...

Kamilka rozplakała się na dobre.

— Przykro mi będzie bardzo patrzeć jak wszyscy jedzą śliwki i winogrona, a ja tylko jedna nie mam prawa ich dotknąć.

— Jeżeli o to chodzi, to ja też nie będę jadła leguminy ani owoców—zawołała Madzia— może to cię pocieszy.

— Nie, moja droga siostrzyczko, nie

chcę, żebyś pozbawiła się dla mnie takiej przyjemności. Jedz, bardzo cię o to proszę!

— Postanowiłam już i stanowczo jeść nie będę—odparła Madzia.—Nie miałabym żadnej przyjemności w jedzeniu smacznych rzeczy, których ty będziesz pozbawiona.

Kamilka rzuciła się siostrze na szyję i uściskały się serdecznie. Madzia prosiła tylko, żeby nie mówić nikomu o jej postanowieniu.

— Bo gdyby mamusia wiedziała o tem, zmusiłaby mię do skosztowania, albo mogłaby sądzić, że ją w ten sposób chcę skłonić do przebaczenia i darowania twej winy—powiedziała wkońcu.

Podczas obiadu wszystkie trzy dziewczynki były smutne i milczące. Gdy przyszła kolej na leguminę, okazało się, że to są ulubione przez Madzię ryżowe ciasteczka.

— Daj mi swój talerz, Madziu—rzekła matka, chcąc nałożyć jej porcję.

— Dziękuję mamusi, nie będę jadła,—odrzekła Madzia.

— Jakto? Przecież je tak lubisz, moje dziecko.

— Nie jestem głodna.

— Przed chwilą prosiłaś, żebym ci dała kartofli do mięsa, a ja ci odmówiłam, wiedząc, że będzie twoja ulubiona potrawa.

Madzia zarumieniła się, mówiąc:

— Jeszcze mi się wtedy jeść chciało, a teraz jestem najedzona.

Pani Marja spojrzała na obie córeczki i domyśliła się, że coś się w tem ukrywa, ale kiedy przyniesiono dwa ogromne kosze pysznych śliwek i winogron, oczy Kamilki napęłniły się łzami na myśl, że to dla niej Madzia wyrzekła się tylu smacznych rzeczy, a Madzia utkwiała wzrok w kosze z owocami i westchnęła zcicha.

— Czy dać ci najprzód śliwek, czy winogron?—zapytała pani Marja, zwracając się do młodszej córeczki.

— Dziękuję mamusi, nie będę jadła owoców—odpowiedziała Madzia.

— Sprobuj przynajmniej winogron—zachęcała matka, coraz bardziej zdziwiona wstrzeźliwością dziewczynki.

— Nie, mamusi, czuję się bardzo zmęczona i chciałabym się zaraz położyć, szepnęła Madzia, która obawiała się ulec pokusie, gdyż aromat dojrzałych owoców nęcił ją niezmiernie.

— Czy może źle się czujesz?—zapytała matka z niepokojem.

— Nie mamusi, jestem zupełnie zdrowa, ale chce mi się spać.

Pani Marja pozwoliła Madzi udać się na spoczynek, ale w tejże chwili Kamilka poprosiła drżącym głosem, żeby również pójść

do sypialni. W kilka minut potem powstano od stołu i matka ujrzała w salonie obie córeczki w serdecznym uścisku, poczem Madzia pobiegła na górę, a Kamilka stała jeszcze na środku pokoju, spoglądając za odalającą się siostrą.

— Jakaż ona jest dobra! Jak ja ją bardzo kocham!—mówiła do siebie.

— Cóż to strześliło Madzi do głowy?—zapytała matka.—Nie chciała jeść i o godzinę wcześniej, niż zwykle, poszła spać.

— Ach, żebyś wiedziała, mamusi, jaka Madzia jest niezmiernie dobra!—zawołała Kamilka z zapalem,—wszystko to było zrobione umyślnie, żeby moją karę też wziąć na siebie, a dlatego oddaliła się wcześniej, że nie mogła już patrzeć dłużej na winogrona, które tak ogromnie lubi.

— Chodźmy do niej—rzekła pani Marja, biorąc Kamilkę za rękę, ale przed wyjściem z salonu szepnęła parę słów do matki Stokrotki, która wnet przeszła do jadalni.

Madzia leżała już w łóżeczku. Wielkie niebieskie oczęta utkwiała w portrecie siostry i uśmiechała się do niej.

Pani Marja uścisnęła Madzię, wrzuszona jej dobrem serduszkiem.

— Przychodzę powiedzieć tobie, moje dziecko, że twoją ofiarą okupiłaś winę Kamusi, przebaczam jej przez wzgląd na cie-

bie i obie będziecie zaraz jadły tu wasze ulubione ciasteczka, śliwki i winogrona, które kazałem wam przynieść.

W tejże chwili weszła Eliza, niosąc na tacy przyrządzone przysmaki.

Pani Marja zeszła na dół, a Kamilka opowiedziała Elizie jak dobrą jest Madzia, następnie obie dały jej część swego deseru, a porozmawiawszy jeszcze trochę, siostrzyczki ucałowały się, zmówiły paciorek i zasnęły wkrótce, śniąc o przeżytych w dniu tym sprawach, o gniewach, przebaczeniu i wyśmienitych winogronach.

VIII.

J e ż e.

Razu jednego Kamilka i Madzia siedziały na swych składanych stołeczkach w cieniu drzew i czytały jakieś zajmujące książeczki.

Nagle Stokrotka przybiegła zdyszana, wołając już zdaleka:

— Kamusiu! Madziu! Chodźcie prędko zobaczyć jeże! Złowiono ich cztery, jest matka i trzy małe!

Dziewczątka pośpieszyły na wezwanie! Jeże leżały w koszyku.

— Wyglądają jak kolczaste kule! Nie mają ani łap ani głowy — rzekła Kamilka, przyglądając się im zbliska.

— Zdaje mi się, że są tak skulone, iż nie widać ich łapek i główek — mówiła Madzia.

— Zaraz zobaczymy. Wyrzucić je trzeba z koszyka — odpowiedziała Kamilka.

— Ależ one będą cię kłuły! Jakże je weźmiesz do ręki? — spytała Madzia. — Poczekaj chwileczkę.

To rzekłszy, Kamilka wywróciła koszyk a małe jeże, czując ziemię pod sobą, poczęły się ruszać i wysuwać łapki, a potem głowy ku wielkiej radości dziewcząt śledzących ich ruchy. Wreszcie i matka łeb swój ukazała, ale dostrzegłszy dzieci, chwilę zawahała się, następnie wydała krzyk, nawołując swe małe i posunęła się naprzód, chcąc się skryć w krzakach.

— Jeże uciekają!.. — zawołała Stokrotka.

Jednocześnie nadbiegł stróż ogrodowy.

— Ach! Ach! moje znajdkie rozbiegły się! wołał zmartwiony. — Nie trzeba było wyrzucać je z kosza, teraz dużo będę miał roboty, żeby je połapać.

To rzekłszy, popędził za niemi, chociaż biegnęły niezmiernie szybko w stronę gajku i były już blisko ogromnego, starego dębu,

który miał otwór z jednej strony, mogący służyć jako doskonale dla małych zwierzątek schronienie. Mało już brakło do tego, żeby się w niem ukryły, gdy nagle dał się słyszeć huk strzału.

Duży jeź, trafiony celnym strzałem, przewrócił się martwy u samego wejścia do nory, co widząc małe zatrzymały się w biegu, nie wiedząc co począć.

Stróż, zastrzeliwszy matkę, pochwycił jej małe do sakwy.

Nadbiegły na to wszystkie trzy dziewczynki.

— Dlaczego zabiliście biedne stworzenie, niedobry Nikodemie?—rzekła Kamilka z oburzeniem.

— Małe języki pozdychają teraz z głodu! — zawołała Madzia.

— Co to, to nie! panienko, nie dam im pozdychać, bo je zaraz pozabijam—odpowiedział spokojnie Nikodem.

Stokrotka złożyła ręczki z błagalnym wyrazem:

— O, biedne malutkiel! Proszę ich nie zabijać, Nikodemie.

— Trzeba koniecznie niszczyć jeże, bo to są bardzo szkodliwe stworzenia. Zagryzają małe króliki i przepiórki. Zresztą te języki nie mogłyby żyć bez mleka.

— Chodźmy zaraz do mamusi—zawołała

Kamilka—poprosimy ją o ocalenie nieszczęsnych zwierzątek.

Pobiegły natychmiast do salonu, w którym obie mamusie zajęte były ręczną robotą.

— Mamusiul! Mamusiul! wołały wszystkie trzy razem. Biedne jeże! Niegodziwy Nikodem wszystkie pozabija!.. Trzeba je ratować jak najprędzej!

— Co? Co wy mówicie? Kogo mamy ratować? Dlaczego Nikodem jest niegodziwy? pytała pani Marja.

— Trzeba iść zaraz!.. Nikodem nas nie słucha!.. Biedne zwierzątka!..

— Mówicie wszystkie razem, nie sposób was zrozumieć, moje dzieci—rzekła pani Rosburgowa—Madziu, mów sama, bo wydajesz się najmniej podniecona i zadyszana.

— Nikodem zabił dużego jeża, a teraz chce zabić trzy małe—odpowiedziała dziewczynka. — Powiada, że jeże są szkodnikami i duszą małe króliki.

— Jestem pewna, że to jest wymysł Nikodema i że jeże żywią się tylko bezużytecznymi stworzeniami,—wtrąciła Kamilka.

— Dlaczegożby Nikodem miał kłamać, moje dziecko?—zapytała pani Marja.

— Bo on chce pozabijać biedne małe języki!..—odpowiedziała Kamilka najwięcej przejęta tą sprawą.

— Masz go więc za takiego okrutnika?

Żeby odebrać życie niewinnym stworzeniom ogadywałyby je haniebnie!—rzekła pani Marja—nie chce mi się w to wierzyć.

— Ależ tak, mamusiu. Trzeba koniecznie wyratować te małe jeżyki, one są takie miłusieńkie!

— Miłusieńkie?—zaśmiała się pani Rosburgowa, — to istotnie coś osobliwego! Ale trzeba nam pójść i przekonać się na miejscu, czy możliwe jest ocalić biedne sierotki.

Obie mamusie udały się z trzema dziewczynkami do ogrodu i skierowały się do gaiku, w którym dzieci pozostawiły stróża i małe jeżyki, ale nie zastały już nikogo. Nikodem i jeże znikli bez śladu.

— O mój Boże! Już na pewno pozabijane! — westchnęła Kamilka.

— Zaraz się przekonamy—odpowiedziała matka—chodźmy do chatki stróża.

Dziewczynki pobiegły przodem i otwierając drzwi chatki, zawołały pośpiesznie:

— Gdzie są jeże?

Stróż spożywał właśnie obiad wraz ze swą żoną. Powstał zwolna od stołu i odrzekł również powoli:

— Wrzuciłem je do wody. Są tam w sadzawce warzywnego ogrodu.

— Jak to źle, jak niegodziwie! — wołały dzieci oburzone. Mamusiu! Mamusiu! Nikodem potopił jeżyki!...

— Źle postąpiłeś, Nikodemie,—odezwała się pani Marja, która nadeszła w tej chwili.—Dzieci taką miały ochotę zachować je przy życiu.

— Niemożliwe, proszę pani; małe zginęłyby w przeciągu dwóch dni najdalej, a musimy niszczyć jeże w ogrodzie, bo to są straszne szkodniki.

Pani Marja zwróciła się do dziewczątek, stojących w głębokim milczeniu.

— Cóż robić? Musicie zapomnieć już o tych jeżykach. Nikodem uczynił tak, jak mu nakazywał obowiązek, a zresztą cóżbyście z nimi zrobiły? Jak je pielęgnować? Czem wyżywić?

Dziewczynki czuły, że matka ma słuszość, ale ogromnie im żal było małych jeżów, które wzbudzały w nich wielką litość. Nie odpowiedziały już ani słowa i powróciły do domu bardzo przygnębione.

Miały właśnie zabrać się do odrobienia lekcji, gdy Zosia przyjechała na kucyku. Towarzyszyła jej służąca, która oznajmiła, że macocha Zosi ma przybyć na obiad.

Podczas kiedy Zosia witała się z Kamilką i Madzią, Stokrotka cofnęła się, jak gdyby zamierzając uciec.

— Dlaczego odchodzisz? — zapytała ją Zosieńka.

— Bo przez ciebie ukarana została Ka-

milka przed paru dniami, odpowiedziała małutka. Nie lubię cię za to.

— Zasłużyłam na karę, moja Stokrotko, bo bardzo nieładnie jest unieść się gniewem, zauważyła Kamilka.

— To za mnie tak się rozgniewałaś na Zosię, moja Kamuchno, zawołała Stokrotka, tuląc się do niej. Jesteś zawsze taka dobra i nigdy się nie unosisz.

Zosia poczerwieniała ze złości, ale po chwili uspokoiła się i podeszła do Kamilki, mówiąc ze łzami:

— Stokrotka ma słuszość. To ja byłam winną, odtrącając brutalnie tę małą, gdy starała się obronić twoje poziomki. Wywołałam twoje oburzenie i dobrze uczyniłaś, żeś wymierzyła mi policzek. Zasłużyłam na to. I ty małutka, dodała zwracając się do Stokrotki, wybacz mi, bądź tak wspaniałomyślną jak Kamusia. Wiem, że jestem zła, ale taka jestem nieszczęśliwa!..

Na te słowa wszystkie trzy dziewczynki poczęły ścisnąć i całować Zosienkę, mówiąc:

— Nie płacz! Nie płacz! My cię bardzo kochamy. Przyjeżdżaj do nas jak najczęściej; będziemy starały się cię rozweselić.

Zosia otarła łzy i wołała wzruszona:

— Dziękuję wam, dziękuję po tysiąc razy, moje drogie. Postaram się was naślado-

wać i być tak dobrą, jak wy jesteście. Ach, gdybym miała taką matkę, jak wasze, byłabym daleko lepszą! Ale obawiam się ogromnie mojej macochy! Nigdy nie powie mi co mam zrobić, tylko bije mnie przy każdej okazji!

— Biedna Zosieńka! Bardzo mi przykro, że cię nie lubiłam! rzekła Stokrotka z uczuciem szczerzego żalu.

— Miałas rację mnie nie lubić, bo byłam bardzo niegrzeczną przybywszy do was, odpowiedziała Zosia.

Kamilka i Madzia musiały odejść, aby dokończyć lekcję geografji, a Stokrotka opowiedziała tymczasem Zosi o jeżach utopionych i zabiciu ich matki.

— Chodźmy zobaczyć, gdzie je potopiono, zawołała Zosia zaciekawiona.

— Mamusia zabrania mi zbliżać się do wody, rzekła Stokrotka.

— Będziemy przyglądały się zdaleka, odparła Zosia, biegnąc we wskazaną stronę.

W sadzawce dostrzegła coś poruszającego się na powierzchni.

— Patrz! patrz! Widzę małego jeżaka który jeszcze żyje! wołała Zosia, zbliż się, to go zobaczysz.

— Ach prawda! Jak się męczy, biedactwo. A tamte już potonęły.

— Trzebaby pchnąć go kijem, żeby prędzej poszedł na dno, zauważyła Zosia.

Oto jest kij długi, uderz nim po głowie jeża, żeby prędzej skończyła się jego męka.

— Za nic, za nic w świecie, broniła się Stokrotka; nie chce go zabijać, a przytem mamusia nie pozwala mi zbliżyć się do sadzawki, bo mogłabym wpaść łatwo.

— Co też ty wygadujesz! Niema najmniejszej obawy, ale jeśli się boisz, to ja postaram się zanurzyć tego biedaka, bo mnie nikt nie zabrania.

To mówiąc, Zosia zbliżyła się do sadzawki i wyciągnawszy rękę, uderzyła kijem jeża, który zniknął na chwilę pod wodą, poczem znów wypłynął. Zosia uderzyła go powtórnie, ale nachyliwszy się, straciła równowagę i wpadła do wody, wydając krzyk rozpaczliwy.

Stokrotka rzuciła się jej na pomoc i widząc jej rękę opartą o krzak nadbrzeżny chwyciła ją pośpiesznie i udało się małej wyciągnąć Zosię do połowy, poczem podała jej drugą rączkę, ale przy tym ruchu została sama wciągnięta do sadzawki. Nie straciła jednak przytomności, przypomniała sobie jak ktoś opowiadał, że tonąc, należy mocno uderzyć nogami o dno i w ten sposób podnieść się na powierzchnię, Stokrotka zastosowała się do tej rady i jednym rzutem znalazła się nad wodą, potem uchwyciła

gałąź pochyloną i przy jej pomocy wyskoczyła z niepożądanego kąpielu.

Nie widząc już Zosi, pobiegła co tchu ku domowi, wołając:

— Na pomoc! Na pomoc!

Kosiarze, pracujący w pobliżu, przybyli na krzyk dziecka. Kobiety grabiące siano również pośpieszyły ku Stokrotce, ociekającej wodą.

— Panienska wpadła do wody! — krzyczały przerażone.

— Ratujcie Zosię! Zosia się topi! — szlochała Stokrotka, wskazując sadzawkę w ogrodzie.

Jedna z kobiet dostrzegłszy białą sukienkę Zosi unoszącą się na powierzchni, zaczepiła o nią zręcznie widłami i przyciągnęła dziewczynkę do brzegu, poczem schwyła ją na ręce.

Kamilka i Madzia, zwabione powstałym hałasem, przybiegły na miejsce wypadku, płacząc i krzycząc razem ze Stokrotką, matki dziewczynek przybyły również i za nim się wyjaśniło z jakiego powodu Zosia wpadła do wody i dlaczego Stokrotka także cała była zmoczona zajęto się przebraniem jej i wysuszeniem mokrych włosów.

Wreszcie Stokrotka opowiedziała całe zajście, a matka, tuląc ją do siebie, upominała zlekka:

— Widzisz dziecińco, że miałam słuszność zabraniając ci zbliżać się do sadzawki ale postąpiłaś dzielnie rzucając się na ratunek Zosi.

Przez ten czas pani Marja z Elizą zniosły Zosię do pokoju dziewczynek i właśnie nakładały na nią koszulkę Kamilki, gdy nagle drzwi się otworzyły z łoskotem i pani Fiszini, macocha Zosi, wpadła jak piorun z jasnego nieba.

Zosia zaczerwieniła się jak wiśnia.

Niespodziewana wizyta wszystkich wprawiła w zdumienie.

— Cóż to za awantury wyprawia tu Zofja? zapytała macocha dziewczynki. Zniszczyła zupełnie świeżą sukienkę, jak głuptas jakiś wpadła do wody. Poczekaj, przyniosłam z sobą narzędzie, które ci rozumu napędzi do głowy!

I to mówiąc wyjęła z pod okrywającego ją szalą dużą różgę, porwała Zosię w pół i poczęła smagać z całej siły, nie zważając na krzyk dziecka, na łzy i prośby Kamilki i Madzi, na uwagi obu pań oburzonych jej srogością niezmierną. Przestała dopiero znęcać się nad pasierbicą, gdy różga złamała się w jej dłoni. Wyszła wtenczas z pokoju a pani Marja podążyła za nią, by jej wytłomaczyć, że podobna rozprawa nie może dziecku wyjść na dobre.

— Niech mi pani wierzy, że to jest najlepszy sposób przełamania wad dziecinnych, bat to najpewniejszy nauczyciel, zapewniała pani Fiszini.

Dobra i łagodna pani Marja była całym innym zdaniem i gdyby nie żałowała biednej sierotki, wymówiłaby dom okrutnej nielitościwej sąsiadce, ale rozumiała dobrze, że w takim razie Zosia nie mogła by już przyjeżdżać i była pozbawioną wszelkiej pociechy. Poprzestała więc na przedstawieniu złych stron zbytecznej srogości, ale wszystkie jej dowodzenia rozbiły się o oschłość serca i słaby umysł pani Fiszini.

Stokrotka ze swą mamusią weszły do dziecinnego pokoju, nic nie wiedząc o scenie, jaka miała tam miejsce przed chwilą, były więc niezmiernie zdumione widząc dziewczynki zapłakane, a Zosię w koszulce, biegającą po pokoju z jękiem i krzykiem. Ciało jej zaczerwienione i różga złamana, leżąca na podłodze, świadczyły o wymierzonej karze.

— Kamilko! Madziu!—wołała Stokrotka sama bliska płaczu. Dlaczego Zosia ma te pręgi czerwone na całym ciele?

— To macocha, obila ją różgą. Biedna Zosieńka!

Wszystkie trzy dziewczynki otoczyły Zosię, pocieszając ją najczulszemi słowy. Przez ten czas Eliza opowiedziała pani Rosburgo-

wej o znęcaniu się macochy nad Zośką. Przy obiedzie wszyscy patrzyli pogardliwie na panią Fiszini, a Zosia nie śmiała podnieść oczu ani przemówić słowa i zaraz po wstaniu od stołu dzieci poszły bawić się do ogrodu. Na odjezdnem panie domowe prosiły, aby Zosię często przysyłano do nich.

— Jeżeli tylko życzą sobie panie widzieć u siebie to wstrętne stworzenie, odrzekła pani Fiszini, orzucając dziewczynkę wzrokiem pełnym złośliwości, będą najszcześliwszą mogąc jej się pozbyć jak najczęściej. Jest tak nieznośną, że mi psuje wszystkie, moje wycieczki w sąsiedztwo. Dowidzenia, kochane panie. Siadaj do powozu, ty głuptasie! dodała uderzając Zosię po głowie.

Gdy powóz już się oddalił, Kamilka i Madzia nie poszły bawić się, ale pozostały przy matkach w salonie, rozmawiając jeszcze z ożywieniem o Zosi i o sposobach wyciągnięcia jej jak najczęściej z rodzinnego domu. Stokrotka już spała, a dwie siostrzyczki udały się też na spoczynek, rozmyślając jeszcze nad niedolą sieroty i dziękując Bogu, że im dał tak dobrą i kochaną mamusię.

IX.

Gruszki skradzione.

W kilka dni po historii z jeżami, pani Marja zaprosiła na obiad paru sąsiadów a także miała przybyć pani Fiszini z Zosieńką.

Kamilka i Madzia były zawsze ubrane skromnie, włosy miały gładko przyczesane, a jeśli oczekiwały gości, przypinano im na główkach duże kokardy ze wstążki. Stokrotka również nosiła sukienki niezbyt strojne, ale czyste i świeże, ciemne jej włoski spadały w długich zwojach na pulchną szyjkę i ramiona.

Przed samym obiadem nadjechała pani Fiszini w sukni jasno lila, przybranej masą koronek, aksamitek i przeróżnych ozdób, czyniących z niej jakieś dziwadło. Wszyscy goście zebrani byli na ganku, gdy powóz podjechał i przesadzista dama, wysiadła, spoglądając dokoła wzrokiem osoby nie wątpiącej ani na chwilę, że budzi ogólny zachwyt. Zmierzyła przelotnym spojrzeniem skromne toalety pań obecnych i uśmiech zadowolenia zabłysł na jej twarzy, była bowiem pewną, że wszystkie inne zakasuje swym strojem. Nie dostrzegła atoli złośliwych spojrzeń

i uwag, jakie wywołało jej pojawienie. Zosia miała na sobie sukienkę z najprostszego materiału, przewiązana w pasie sznurem, rączki trzymała wciąż złożone na przodzie, jakgdyby chodziło jej o zakrycie jakichś niedokładności stroju.

— Ukłoń że się, ty niedorajdo! syknęła macocha. I po co opłacałam nauczyciela tańców, który uczył ją chodzić, kłaniać się i mieć wykwintne maniery? Czego ty idjotko, trzymasz ręce na brzuchu?

— Dzień dobry Zosieńko zawołała pani Marja uprzejmie, chodź ucałować swe przyjaciółeczki — dodała wskazując córki. Jakąż wspaniałą ma pani suknię! powiedziała jeszcze zwracając się do wystrojonej damy chcąc odwrócić jej uwagę od pasierbicy, My tu na wsi ubieramy się tak skromnie.

— Przecież trzeba zużytkować swe toalety — odparła pani Fiszini zadowolona, że pani Marja zwróciła uwagę na jej strój niezwykle. Miała właśnie zasiąść w wygodnym fotelu, gdy naraz usunął się przy dotknięciu jej sztywnej sukni i wyfiokowana dama upadła, jak długa, na ziemię.

Ogólnym śmiechem powitano ten niespodziany wypadek, zwłaszcza grube niezmiernie łydki pani Fiszini podnieciły wesołość w młodem gronie.

Pani Marja i dwóch panów stojących

w pobliżu pośpieszyli z pomocą i podnieśli zaczerwienioną z gniewu jejmość, która uskarżała się na ból nogi. Zosia usunęła się na stronę, w obawie, aby zły humor macochy nie spadł na nią i szepnęła do Kamilki:

— Chodźmy ztąd, bo chciałabym poprawić coś przy sukience zanim obiad podadzą.

To mówiąc, usunęła trochę rączki i ukazała ogromną plamę powstałą z kawy mlecznej.

— Dlaczegoż nie włożyłaś innej sukienki? zapytała Kamilka.

— Mama nie pozwoliła mi zmieniać sukienki włożonej zrana.

— Służąca powinna była zaprać tę plamę—dorzuciła szeptem Kamilka—sukienkę wyprasować też mogła przed wyjazdem.

— Obawiała się gniewu mamy, odparła Zosia.

Kamilka przywołała cichaczem Madzię i Stokrotkę i wszystkie cztery pobiegły do dziecinnego pokoju i tam zabrały się wnet do roboty. Madzia wlała wodę do miednicy, Stokrotka podała mydło, Kamilka wycierała plamę szczoteczką do paznokci aż dopóki plama nie znikła zupełnie, ale sukienki zamoczonej nie miały już czasu wysuszyć, gdyż zawołano na obiad.

Zosia siedziała zdaleka od macochy,

co jej dało możność jeść za cztery, a pani Fiszini, chociaż kulejąca trochę, uszczęśliwioną się czuła, że wszyscy jej okazwali współczucie i nie zważała już wcale na pasierbicę.

Po obiedzie całe towarzystwo udało się na przechadzkę do ogrodu owocowego. Pani Marja wskazała gościom niezwykle okaz gruszki olbrzymiej wielkości, soczystej i wymienitej. Drzewko, na którym rosły gruszki, było jeszcze młode i zaledwie cztery miało owoce.

Wszyscy zachwycali się tym nowym gatunkiem i przyglądali się z zaciekawieniem.

— Zapraszam państwa za tydzień na spożycie tych gruszek, które jeszcze teraz są niedojrzałe—rzekła uprzejmie pani Marja.

Z przyjemnością przyjęto zaprosiny i w dalszym ciągu przyglądano się drzewom owocowym i kwiatom.

Zosia razem z trzema dziewczątkami szła za gośćmi. Widok zachwalanych przez panią Marję gruszek ogromnie podniecił jej wrodzone łakomstwo. Miała niezmierną ochotę pozostać nieco w tyle i niepostrzeżona przez nikogo, zerwać soczystą gruszkę, ale jak zrobić, żeby Kamilka, Madzia i Stokrotka nie zauważyły tego?

— Nieznośna rzecz, że one chodzą wciąż za mną! Jakby się ich pozbyć? pomyślała

Zosia i w tej chwili uczuła, że podwiązka jej spada. Skorzystała z tej sposobności i zatrzymała się przy drzewku, spoglądając chciwie na gruszkę.

— Co tam robisz? zapytała Kamilka, odwracając się ku pozostałej za niemi Zosi.

— Zawiązuję podwiązkę—odrzekła Zosia.

— Może ci pomóc?

— Nie, nie, dziękuję, dam sobie radę.

— Więc poczekam na ciebie—zawołała Kamilka.

— Ależ nie, proszę cię idź sobie, odpowiedziała Zosia niecierpliwie, krępujesz mnie swoją obecnością!

Kamilka zdziwiła się niepomału tym tonem opryskliwym, którego przyczyny nie mogła odgadnąć, podążyła więc za dziewczątkami, pozostawiając Zosię samą. Natenczas łakoma dziewczynka wyciągnęła rączkę, by schwytać gruszkę z drzewa, poczem szybko schowała ją do kieszonki. Następnie sięgnęła po drugą.

W tej chwili Kamilka odwróciła głowę i dostrzegła, jak Zosia chowa coś starannie, ale nie przyszło jej nawet na myśl, żeby to miał być owoc skradziony zuchwale. Znadto dobrze była wychowaną i nie przypuszczała, tak brzydkiego czynu, zapytała więc wesoło:

— Co tam chowasz, Zosieńko? I dlaczego tak się zarumieniłaś?

— Nic nie chowam i nie jestem wcale zarumienioną—odparła Zosia z gniewem.

— Co? Nie jesteś może jak rak czerwona? Madziu, Stokrotko, spojrzycie proszę na Zosię—zawołała Kamilka ze śmiechem.

— Sama nie wiesz co mówisz! Robisz wszystko, żeby mnie wyprowadzić z cierpliwości, wyrzekała dziewczynka ze łzami w oczach. Chcesz koniecznie, żeby mnie strofowano, to bardzo nie ładnie z twojej strony!

— Ależ Zosieńko, nie rozumiem zupełnie co ci się stało? Nie miałam wcale zamiaru drażnić się z tobą, a tymbardziej szkodzić ci w czemkolwiek. Jeżeli zrobiłam ci przykrość, to cię bardzo przepraszam.

Powiedziawszy to Kamilka podbiegła do Zosi, by ją uściskać, ale objawszy ją w pół, uczuła jakiś przedmiot twardy w kieszonce. Spojrzała na drzewo i zrozumiała co zaszło.

— Ach Zosiu, Zosiu! szepnęła z wymówką, jakże źle postąpiłaś!...

— Daj że mi pokój, ty mały szpiegu, zawołała Zosia, unosząc się gniewem. Nic nie zrobiłam złego, nie masz prawa mówić do mnie w ten sposób; puść mnie i nie śmieję skarżyć, bo.....

— Ależ nie myślę wcale cię oskarżać, moja Zosiu, nie chcę tylko pozostawać

z tobą i widzieć skradzione przez ciebie gruszki.

Zosia wpadła w złość straszną i podniosła już rękę, chcąc uderzyć Kamilkę, ale oprzytomniawszy, zastanowiła się, że może ściągnąć na siebie uwagę starszych i być przyłapaną na gorącym uczynku kradzieży owoców. Odwróciła się więc tylko z miną pogardliwą i pobiegła szybko w stronę furtki ogrodowej, zamierzając zasiąść gdzieś na ustroniu i spożyć pochwycone gruszki.

Kamilka stała nieporuszona, patrząc na zmykającą Zosię i nie zauważyła nawet, że całe towarzystwo wracało znów tą samą drogą i że patrzano na nią ze zdumieniem, a także na drzewko owocowe.

— Niestety—zawołała pani Fiszini, zwracając się do gospodyni domu — dwie z pielęgowanych starannie gruszek pani już znikły bez śladu.

Kamilka drgnęła i rzuciła okiem na drzewo, następnie na matkę.

— Czy nie wiesz przypadkiem co się z niemi stało? zapytała pani Marja, przyglądając się córce uważnie. Kamilka nigdy nie kłamała, więc matka ufała jej w zupełności.

— Owszem, mamusiu, wiem, odpowiedziała bez wahania.

— Wyglądasz jak winowajca! Czy to nie ty je zerwałaś?

— O nie, mamusiu — odparła Kamilka.

— Więc cóż się z niemi stało? nalegała pani Marja — ktoś odważył się je przywłaszczyć?

— Odpowiedz, moje dziecko, zachęcała pani Rosburgowa — jeżeli wiesz, powinnaś nam powiedzieć.

— Nie zdaje mi się, proszę pani, żebym była obowiązana.... odrzekła Kamilka lekko zarumieniona.

— Cha, cha, cha! ześmiała się pani Fiszini, zupełnie tak samo jak Zosia, która zrywa ukradkiem owoce, zjada je, a potem kłamie. Warte są jedna drugiej! Niech ją pani porządnie wytrzepie, to zaraz wyzna całą prawdę.

— O nie, wcale nie jestem podobną do Zosi! Nie kradnę i nigdy nie kłamie, zawołała Kamilka z żywością.

— Dlaczego jednak nie chcesz wyznać szczerze? zapytała pani Marja łagodnym ale stanowczym głosem.

Kamilka spuściła oczy i odrzekła cicho:

— Nie mogę, mamusiu!

Pani Marja tak wierzyła w szczerłość słów dziecka, że spojrzała tylko badawczo i zamilkła, ale pani Fiszini nie przestawała drwić w dalszym ciągu.

Wszyscy odeszli i Kamilka pozostała sama jedna, zalewając się łzami. Po kilku

minutach usłyszała nawoływania Madzi, Stokrotki i Zosi:

— Gdzie jesteś, Kamuchno? Szukamy cię już od kwadransa.

Kamilka otarła oczy, ale nie mogła ukryć ich zaczerwienienia.

— Dlaczego płakałaś, moja droga? zapytała Stokrotka z niepokojem.

— Nie płaczę, mam jednak zmartwienie, odrzekła Kamilka, siląc się na spokój, ale wyrzekłszy te słowa, poczęła głośno szlochać Madzia i Stokrotka ścisnęły ją czule i prosiły by im powierzyła swe strapienie.

Kamilka na wpół z płaczem opowiedziała im, że padło na nią podejrzenie zjedzenia gruszek, które mamusia tak starannie pielęgnowała. Zosia stojąca dotąd na uboczu poczerwieniała nagle i zapytała wreszcie głośnym drżącym ze wzruszenia:

— Czy nie powiedziałaś że wiesz... że masz kogoś w podejrzeniu?..

— O nie, nie powiedziałam, odrzekła Kamilka.

— Jakto? Więc wiesz kto zjadł gruszki? pytała Madzia z zaciekawieniem.

— Tak, szepnęła Kamilka ledwie dosłyszalnym głosem.

— Więc dlaczego nie mówiłaś o tem? badała dalej siostrzyczka.

Kamilka spoglądała na Zosię i zamilkła

Zosia coraz bardziej była zmieszana, wreszcie nie mogła znieść dłużej przykrego swego położenia. Wdzięczność dla Kamilki i wyrzuty sumienia z powodu fałszywego kroku zmusiły ją paść na kolana:

— O przebacz mi, przebacz Kamilko! wołała ze łzami. Postąpiłam niegodnie, żaluję szczerze, nie miejcie do mnie żalu!

Stokrotka patrzyła na Zosię gniewnie, nie mogąc jej darować przyczynionego Kamusi zmartwienia.

— Niedobra Zosia, przyjeżdża tu tylko po to, żeby robić nam przykrość! mówiła mała z wyrazem powagi. Już raz Kamilka była przez ciebie ukarana, teraz znów płacze rzewnie z twojej winy, a wszyscy jeszcze posądzają, że to ona jest łakomcą, kłamcą i złodziejką!

Zosia spojrzała na Stokrotkę oczami pełnemi łez i odrzekła łagodnie:

— Dałaś mi do poznania, że powinnam jeszcze dopełnić ciężki obowiązek, przyznając się waszym mamusiom i mojej macosze do popełnionej kradzieży, gdyż to ja zerwałam gruszki, a Kamilka, chociaż wiedziała o tem, nie chciała mię oskarżyć. Zaczna, kochana nasza Kamilka! Zasługuje tylko na pochwały i nagrody!

Zosia chciała już biegnąć ku domowi, ale Kamilka schwyciła ją za ramię i przy-

trzymała mocno, a zwracając się do Stokrotki rzekła surowo:

— Wstydz się, Stokrotko, widzisz jak Zosia pokornie wyznaje swą winę, czy chcesz, żeby ją znów biła bezlitośnie macocha? A ty Zosiu, chociaż popełniłaś czyn bardzo nieładny, jednakże okupiłaś go już poczęści swą skruchą. Wyznaj całą prawdę naszym matkom, ale musimy ją ukryć przed twoją macochą, która wnet srogą wymierzy ci karę.

— Nie będę nic ukrywała, abyś nie była podejrzaną przez nią, moja dobra Kamilko. Wyćwicz mię porządnie, o tem nie wątpię, ale czyż nie zasłużyłam na to...?

W tej chwili matka Stokrotki wyszła z oranżerji, przy drzwiach której toczyła się rozmowa.

— Słyszałam wszystko, coście mówiły z sobą, moje dzieci, rzekła wzruszona. Podejmuję się opowiedzieć o tem pani Marji, ale zamilczę przed panią Fiszini o przewinieniu Zosi, powiem tylko, że niewinność Kamilki jest dowiedziona, gdyż winowajca przyznał się do skradzenia gruszek. Postępowanie twoje, Kamilko droga, jest godne najwyższej pochwały, twoje Zosiu było bardzo naganne na początku, ale przy końcu okazałaś męstwo przyznania się do winy i chęć poniesienia kary, chociaż wiedziałaś, że może być bardzo surową. Ty zaś, Stokrotko

przez miłość dla Kamilki stałaś się okrutną dla Zosi. Madzia była dobrą i rozsądną w całej tej przykrew sprawie. Postarajmy się teraz zapomnieć o rzeczach niemiłych i wesoło dzień ten zakończyć. Nie wiecie jeszcze o tem, że będziecie ciągnęły losy na loteryję, każdy bilet wygrywa jakiś przedmiot.

Dziewczynki z radością powitały tę nowinę i ucałowawszy się nawzajem, wszystkie cztery pobiegły do salonu, w którym oczekiwano je dla rozpoczęcia zabawy.

Zosia wygrała małe gospodarstwo i ładną teczkę, Kamilka przybór do pisania i pudełko farb, do którego dołączone były rysunki do kolorowania, ołówki i pędzelki, Madzia kilkanaście tomów ślicznych powiastek i szkatułkę do roboty, Stokrotka dostała lalkę woskową z całą wyprawką, a przytem komódkę do tych lalczyńskich rzeczy.

X.

Zmoknięta lalka.

Nabawiwszy się doskonale, zjadłszy ciastka i lody Zosia odjechała ze swą macochą, a Kamilka, Madzia i Stokrotka poszły spać do dzieciennego pokoju.

Pani Marja ucałowała serdecznie Kamilkę, dowiedziawszy się jak zachowała się przykładowie w sprawie zerwanego ukradkiem gruszek, a pani Fiszini nie podejrzewała, że chodziło o Zosię. Stokrotka była zachwycona swą lalką i jej wytwornymi strojami, bo i czegoż tam nie znalazło się w tych szufladach komody! Lalka miała letnie i zimowe sukienki, bieliznę, przybory do umywania i czesania, jednym słowem nic nie brakło tej ślicznej lalusi, którą można było ubierać, i rozbierać, nakładać pończoszki i trzewiczki i bawić się nią bez końca zrana, w dzień i wieczorem.

Pewnego dnia mamusia powiedziała dziewczynkom, że pójda z nią na daleki spacer. Wielka zapanowała radość z tego powodu. Stokrotka, nie chcąc rozstać się ze swą lalką, postanowiła zabrać ją z sobą, pomimo, że jej bardzo ciężyła.

— Wybrudzisz ją, jeśli będziesz ciągnęła za ręką — mówiła Madzia.

— Będę ją niosła — upierała się Stokrotka.

— Niech robi jak chce, wtrąciła Kamilka, przekona się sama, że lalka przeszkadza w bieganii.

Ale Stokrotka nie chciała za nic zostawić lalki w domu i za chwilę wszystkie trzy dziewczynki biegly w podskokach około

pani Marji, która oznajmiła, że udadzą się do młyna w lesie. Stokrotka trochę miała skrzywioną minkę, dowiedziawszy się o celu przechadzki, gdyż duża lalka ciążyła jej na ręku i nie mogła swobodnie się ruszać.

Przebywszy prawie pół drogi do młyna, pani Marja w obawie, żeby dzieci nie zanadto się zmęczyły, zachęciła je do odpoczynku pod cieniem drzewem, a sama zajęła się czytaniem książki, którą wzięła z sobą. Stokrotka przykucnęła u jej nóg, podczas gdy Kamilka z Madzią rwały kwiaty i poziomki na łące.

— Stokrotko! Stokrotko! chodź tu do nas, zawołała Kamilka. Co tu poziomek! A jakie dojrzałe!

Stokrotka nie mogła się oprzeć pokusie i pośpieszyła do swych przyjaciółek, które składały uzbierane jagody na dużych liściach, i ona również chciała zbierać poziomki, ale lalka przeszkadzała jej w robocie, jedną rączkę mając wolną, nie mogła dać sobie rady.

— Co zrobić z tą lalką? zapytywała siebie cichutko, może najlepiej będzie posadzić ją na mchu pod dużym dębem.

Umieściła więc lalusię w bezpiecznym miejscu i aż podskoczyła z radości, gdyż nic już jej nie przeszkadzało zrywać poziomki i swobodnie się poruszać.

W jakiś kwadrans potem pani Marja za-

uważyła, że niebo zaszuwa się chmurami, złożyła więc książkę i zawołała na dzieci, aby wracały do domu.

— Spieszcie się—mówiła matka — burza nadchodzi, starajmy dostać się z powrotem, zanim deszcz lunie.

Dziewczynki pośpieszyły na wezwanie, niosąc uzbierane poziomki i ofiarując je matce na rozłożystych liściach.

— Niema już czasu na raczenie się poziomkami — rzekła pani Marja powstając pośpiesznie — czy widzicie jak zasepiło się niebo? Zaczyna grzmieć, chodźmy prędzej.

— Ach, jak ja się boję! zawołała Stokrotka przerażona.

— Czego się boisz?

— Piorunów. Boję się, żeby we mnie nie uderzył.

— Przedewszystkiem mogę cię zapewnić, że piorun uderza zazwyczaj w wysokie drzewa lub kominy, a przytem jesteś zabezpieczona, mając chustkę jedwabną na sobie i takież wstążki na kapeluszu.

— Ach, jak to dobrze, że wiem o tem. Nie będę już lękać się piorunów — zawołała Stokrotka radośnie.

— Wiatr silny się zrywa, za dziesięć minut najwyżej deszcz będzie lał jak z wiadra — rzekła pani Marja — biegnijcie co prędzej do domu.

— Pomimo pośpiesznego powrotu, nie udało się uniknąć burzy. Wielkie krople deszczu spadały coraz gęściej, wiatr szumiał straszliwie. Dziewczynki sukienkami przykryły głowy i śmiały się, biegnąc szybko, nie odpoczywając ani na chwilę. Dochodziły już do ganku, gdy deszcz z gradem zmieszany bił je po twarzy i zmoczył doszczętnie.

— Zmieńcie zaraz pantofelki, pończoszki—rozkazała matka, sama też poszła do swego pokoju, by przebrać się całkowicie.

Niepodobna było wyjść z domu przez cały wieczór, deszcz nie ustawał, więc dziewczynki bawiły się w ciuciubabkę, a mamusie przyglądały się z przyjemnością ich zabawie; tak minął czas niepostrzeżenie do ósmej godziny, poczem Stokrotka poszła spać, a starsze znużone grą ruchliwą, zasiadły do czytania, gdyż miały dużo nowych i zajmujących książek.

Nagle wpadła Stokrotka bosa, w jednej koszulinie, płacząc rzewnie.

Wszyscy rzucili się ku maleńkiej dziewczynce, chcąc dowiedzieć się o powodach strapienia, ale łkanie nie pozwalało jej wymówić ani słowa.

— Moja la... la... lalka!... Moja lalka! jęknęła Stokrotka. Została tam pod drzewem!.. Moja śliczna lalusia!...

Znowu zalała się łzami i szlochała coraz głośniej.

— Twoja nowa lalka jest w lesie? W jaki sposób tam się dostała? pytała matka Stokrotki, nie wiedziała bowiem.

— Zabrałam ją z sobą na spacer, a potem posadziłam pod dużym drzewem, gdy zbierałyśmy poziomki. A potem grzmiało i ja się bałam piorunów.... Uciekałyśmy od burzy i zapomniałam o lalce....

— Być może drzewo ochroniło ją od zmoczenia, ale po co ją zabrałaś z sobą? Mówiłam ci już tyle razy, że nie należy brać lalek na długą przechadzkę, bo stanowią przeszkodę w zabawie.

Stokrotka słuchała w pokorze strofowań matki, uznając swą winę.

— Kamilka i Madzia odradzały mi również, szepnęła, ale nie chciałam rozstać się z moją śliczną lalusią!

— Jesteś ukarana za swój upor; do jutra będziesz niepokoiła się myślą, czy nie popsuła się na deszczu, a może jakie zwierzęta leśne poszarpały ją lub kto z przechodzących zabrał...

— Ach, mamusiu droga! zawołała Stokrotka składając rączki błagalnie, niech mamusia poszle służącego do lasu. Opowiem

mu w jakim miejscu posadziłam lalkę pod drzewem i może ją zaraz przyniesie.

— Jakto? Chciałabyś wysłać kogoś w taką pogodę podczas ciemnej nocy do lasu? odrzekła pani Rosburgowa. Mogłyby go wilki napaść. Nie poznaję zupełnie mojej córki!

— Ale moja lalka, moja biedna opuszczona lalusia! Mój Boże! co się z nią stanie!...

— Bardzo współczuję tobie, moje dziecko, ale nie widzę innej rady, jak czekać cierpliwie do jutra, a jeżeli się wypogodzi, pójdziemy razem na poszukiwania.

Stokrotka spuściła główkę ze smutkiem i powróciła do sypialni, mówiąc sobie, że oka nie zmruży aż do rana. Nie chciała nawet położyć się do łóżeczka, ale służąca namówiła ją, aby spróbowała zasnąć. Mała, spłakana, jeszcze szlochała trochę, poczem sen ją zmożył i obudziła się dopiero następnego dnia.

Ranek był prześliczny. Stokrotka wyskoczyła z łóżeczka, chcąc ubrać się jaknajspieszniej i biec na poszukiwanie lalki do lasu.

Kamilka i Madzia były już gotowe towarzyszyć jej w wyprawie, mamusi również poszły z niemi. Dziewczynki biegły w milczeniu tą samą drogą, którą uciekały wczoraj przed burzą.

— Widzę już ten dąb, pod którym ją posadziłam, wołała Stokrotka z przejęciem.

W kilka minut zatrzymały się wszystkie trzy przy drzewie, ale nie było lalki, ani żadnych śladów świadczących że tam ją zostawiono. Dziewczynki spojrzały po sobie z niedowierzaniem.

— Czy jesteś pewną, że ją tu posadziłaś? pytała matka Stokrotki.

— Jestem pewną — mamusiu — jestem pewną — odparła malutka z przekonaniem.

— Niestety, mamy dowód niezbity — rzekła Madzia, podniósłszy niebieski pantofelek, leżący w trawie.

Stokrotka, ujrawszy pantofelek, rozplakała się rzewnie. Ponieważ wszystkie poszukiwania okazały się nadaremne, powracano w milczeniu ku domowi. Dzieci zastanawiały się nad tem, co się stało z lalką? Przecież nie mogła rozmoknąć zupełnie na deszczu. Wilki nie zjadają lalek, a więc to nie wilk ją porwał, jednak zaszło coś niezwykłego.

Tak rozmyślając, przyszły do domu mocno zafrasowane. Stokrotka, wszedłszy do dziecinnego pokoju, zasiadła przy lalczynie komódce i układała starannie do szufladek cały dobytek zgubionej lalki, poczem zamknawszy na klucz, zaniósła go Kamilce, mówiąc:

— Schowaj proszę cię ten kluczyk do

swego biureczka. Jeśli zbiorę dość pieniędzy na kupienie nowej, takiej samej zupełnie lalki, to cała bielizna i suknie przydadzą się jeszcze.

Kamilka ucałowała Stokrotkę w milczeniu, wzięła kluczyk z jej ręki i chowając go do jednej z szufladek, westchnęła, szepnąwszy: „Biedna Stokrotka!...”

Madzia cierpiała również z powodu zmartwienia małej przyjaciółki i myślała wciąż nad tem jak ją pocieszyć. Nagle oczy jej zabłyły radością, zerwała się pośpiesznie ze swego koszyczka do roboty i wyciągnęła woreczek z pieniędzmi. Podając go Stokrotce, zawołała:

— Oto masz na kupno nowej lalki. Uzbierałam sobie trzydzieści pięć złotych, aby kupić książki, które nie są mi koniecznie potrzebne. Niezmiernie się cieszę, że tobie przydadzą się te pieniądze i że będziesz mieć taką samą lalkę, jak tamta.

— O, dziękuję tobie serdecznie, Madziulko kochana, odrzekła Stokrotka, zapłonią z wielkiego uradowania; poproszę zaraz mamusię, żeby mi kazała kupić taką samą!

Pobiegła do matki, która przyrzekła, że przy pierwszej okazji wyjazdu do dużego miasta lalkę sprowadzi.

XI.

Złodziejstwo Joasi.

Madzię pochwalono gorąco za jej szlachetną ofiarę. Trzy dni już upłynęło od czasu zniknięcia lalki; Stokrotka oczekiwała z niecierpliwością przywiezienia upragnionej zabawki, a tymczasem bawiła się lalką Madzi. Ponieważ było bardzo ciepło, dzieci przebywały ciągle prawie w ogrodzie. Madzia czytała książkę w cieniu drzew, Kamilka splatała wianuszek z drobnych kwiatków, żeby przystroić lalkę, którą Stokrotka czesała w tej chwili. Jedna z dziewcząt folwarcznych, niosąca chleb świeżo upieczony, zbliżyła się do dziewczynek i zatrzymała się przy Stokrotce, przyglądając się lalce, poczem rzekła:

— Ładna jest ta lalusia panienki!

— Prawda Zuziu, że nigdy piękniejszej od tej nie widziałaś? zapytała Stokrotka.

— Widziałam jeszcze ładniejszą i to nie dalej, niż wczoraj. Suknia na niej liljowa jedwabna z koronkami. Joasia, córka młynarza, ma tę lalkę.

— A kto jej dał, moja Zuziu, taką śliczną lalkę? dopytywała Stokrotka z zaciekawieniem.

— Nie wiem, panienko, ale od trzech dni bawi się nią nieustannie.

Dziewczynki spojrzały po sobie porozumiewawczo, podejrzewając, że ta lalka Joasi może mieć coś wspólnego z zaginioną podczas ulewy.

— Czy lalka Joasi ma obute nogi? zapytała Kamilka.

— Jedną tylko — zaśmiała się Zosia — trzewiczek ma niebieski, a druga noga bosa. Na głowie kapelusz duży słomkowy z białym piórem.

— Ależ to moja lalka, którą zostawiłam pod drzewem przed trzema dniami podczas burzy!... zawołała Stokrotka, zrywając się z miejsca.

— Joasia powiedziała, że dostała tę lalkę w podarunku, ale nie trzeba o tem mówić, boby jej pozazdrozczono — rzekła Zuzanna.

— Musimy zaraz opowiedzieć to mamusi — szepnęła Kamilka do Madzi i jak tylko Zuzia odeszła, pobiegły do salonu.

— Pani Marja coś pisała, a pani Rosburgowa grała na fortepianie.

— Musimy zaraz pójść do młyna i odebrać od Joasi lalkę Stokrotki, zawołały dziewczątka.

— Co wam się znowu przewidziało moje dzieci, zupełnie tracicie głowy! odrzekła

pani Rosburgowa, wruszając ramionami. Zkądże te wiadomości?

— Zuzia widziała na własne oczy, mówi, że lalka jest prześliczna!

— Pewno jakaś groszowa zabawka wydała się Zuzi wspaniałą, bo ładniejszych nigdy nie oglądała — wtrąciła pani Marja.

— To jest z pewnością moja lalka — zapewniała Stokrotka — suknię ma jedwabną lila, jeden trzewiczek na nóżce, kapelusz słomkowy z białym piórem.

— Zawołajcie tu Zuzię, sama ją wybadam, rzekła mamusia Stokrotki. Jeżeli są istotnie podejrzenia na Joasię, to pójdziemy zaraz do młyna.

Stokrotka pobiegła, jak strzała, odnalazła Zuzię i przyprowadziła do salonu zawstydzoną dziewczynkę.

— Nie lękaj się, Zuziu, odezwała się pani Marja, ale opowiedz nam wszystko, co wiesz o lalce Joasi. Czy to prawda, że jest tak ładnie ubrana?

— O tak, proszę pani, odrzekła Zuzia i opowiedziała powtórnie wszystkie szczegóły stroju lalki, które nie pozwalały wątpić, że Joasia przywłaszczyła sobie zabawkę Stokrotki.

Zuzia dostała garść cukierków na odchodnem i radośnie zarumieniona odeszła do swych zajęć.

Obie panie i trzy dziewczynki nałożyły

kapelusze i skierowały się w stronę młyna. W półgodziny stanęły na miejscu. Dzieci pragnęły jak najprędzej odszukać Joasię, ale pani Rosburgowa powstrzymała je, nakazując milczenie. Weszły więc wszystkie razem do młyna. Młynarka, ujrawszy niezwykłych gości, podała wnet krzesła i stołki, zapraszając do odpoczynku po przechadzce.

Pani Marja zagadnęła młynarkę, co sły-chać? Gdzie jest jej córeczka Joasia? Może-
by można ją przywołać?

Młynarka pobiegła szukać ale napróżno.

— Pewno nie śmie się pokazać paniom
zapewniała zakłopotana.

— A dlaczegoż by nie śmiała? zapytała
pani Marja. Mam nawet dla niej podarek,
chusteczkę na głowę i ładny fartuszek.

Młynarka znikła znowu w głębi młyna,
szukała wszędzie Joasi, wreszcie przywiodła
ją, ciągnąc za ramię, Joasia wyrywała się
i matka przytrzymała ją z trudem.

— Niech matka puści mnie — wołała
dziewczynka — ja nie chcę — ja się boję!...

— Czego się lękasz, głupie dziecko! Czy
ciebie panie zjedzą? gromiła młynarka swą
niesforną córeczkę.

Zaledwie jednak wypuściła ramię Joasi
jakby z żelaznych kleszczy, dziewczynka
zniknęła szybko z izby. Matka była strasz-

nie zagniewana, gdyż obawiała się, że ładne
prezenta ją ominą, więc krzyczała co sił:

— Chodź że tu zaraz, ty, nic dobrego!...
Tak cię ściągnę po plecach, że zobaczysz!

Pani Marja uspokoiła młynarkę i nie
pozwoliła jej iść po Joasię, ale powiedziała,
że sama z nią się rozmówi i wynajdzie
z łatwością, gdyż zna dobrze rozkład miesz-
kania. Jakoż znalazła ją schowaną za krzes-
łem. Wyciągnęła dziewczynkę z kąta i usiadł-
szy na krześle, wzięła ją za obie ręce, za-
pytając łagodnie.

— Dlaczego ukrywasz się, Joasiu? Da-
wniej zawsze wybiegałaś na moje spotkanie,
gdy przychodziłam do młyna.

Joasia stała, milcząc, z głową spuszczoną,
a pani Marja pytała dalej:

— Powiedz mi gdzie znalazłaś tę ładną lal-
kę, którą widziano u ciebie wczoraj?

— Zuzia kłamie, zawołała Joasia z żywoś-
cią, nie widziała żadnej lalki, nic jej wcale
nie mówiłam, wszystko to są brednie przez
nią wymyślone!

— A zkąd wiesz, że Zuzia nam mówiła
o tej lalce? podchwyciła pani Marja.

— Bo ona mi zawsze dokucza i skarży
na mnie!

— Raz jeszcze cię pytam dlaczego przy-
puszczasz, że wiem cośkolwiek od Zuzi?
Przecież o niej nie było mowy.

— Nie trzeba wierzyć ani Zuzi ani innym plotkarkom, mówiła Joasia nadąsana. Wcale nie chwaliłam się, że dostałam lalkę i nie mam nawet żadnej lalki. To wszystko są kłamstwa!

— A ja z tego co mówisz widzę, że to ty kłamiesz Joasiu—rzekła pani Marja spokojnym ale pewnym tonem. Obawiasz się, że odbierzemy ci lalkę, którą w dniu burzy znalazłaś w lesie.

— Wcale nie kłamię, nic nie znalazłam pod dębem i nie mam lalki panienki Stokrotki, upierała się Joasia.

Zkąd że wiesz, że to chodzi o lalkę Stokrotki i że była ona pod dębem?

Joasia czuła, jak się zdradza pomimo woli, poczęła więc krzyżeć i miotać się po izbie. Nie zwracając na to uwagi, pani Marja, rozglądając się dokoła, otworzyła szafę, następnie kufer, szukając wszędzie lalki, a ponieważ Joasia oparła się o łóżko, jakby w obawie przetrząsania pościeli, schyliła się pod łóżko, i dostrzegła tam ukrytą lalkę Stokrotki. Zwróciła się natenczas do młynarki, która stała wystraszona i kazała jej natychmiast wyciągnąć zabawkę z ukrycia. Młynarka spełniła rozkaz i drżącymi rękoma podała lalkę.

— Czyście wiedzieli, że Joasia tę lalkę posiada? zapytała pani Marja surowo.



Czyście wiedzieli o tem, że Joasia tę lalkę posiada? zapytała pani Marja surowo. (Str. 78)

— Co to, to nie — proszę łaski pani — tłumaczyła się młynarka zatrwożona, gdybym wiedziała, kazałabym jej zaraz odnieść do dworu, boć ona wie, że to zabawka panienek. Ach ty niegodziwa dziewczyno, zobaczysz, jakie ja ci sprawię lanie. Już ja cię poprawię! Oduczę od zabierania cudzych rzeczy i od kłamstwa. Cała drzę przez tego utrapieńca!.. Odrazu zrozumiałam, że kłamiesz wierutnie przed naszą panią! Dostaniesz zaraz baty, odkładać nie będę na długo.

Joasia płakała, krzyczała, prosiła o przebaczenie, przyrzekała, że nigdy już nic podobnego nie zrobi. Młynarka potrącała ją co chwila, biła pięścią. Pani Marja w obawie, aby ta scena nie była już nazbyt gwałtowna, starała się uspokoić rozgniewaną kobietę, nakazując zamknąć tylko Joasię w izbie do wieczora, a nie smagać ją różgą ani batem.

Dzieci przyglądały się w przerażeniu. Kłamliwe wykręty Joasi, jej zawstydzenie z powodu odnalezionej lalki, złość i pogróżki młynarki sprawiły na nich silne wrażenie.

Pani Marja wręczyła Stokrotce lalkę, pożegnała młynarkę i wyszła z dziewczynkami i panią Rosburgową na drogę wiodącą do domu. Szły tak czas jakiś w milczeniu, aż nagle krzyk donośny zwrocił ich uwagę. Krzyk powtarzał się kilkakrotnie coraz silniejszy i przenikliwszy. To młynarka wymierzała

karę swojej Joasi! Długo, jeszcze słyhać było jęki i płacze koło młyna.

Kamilka, Madzia i Stokrotka, pomimo radości z odnalezienia zguby, były przez cały dzień pod przykrem wrażeniem smutnego zakończenia tej całej historii z lalką.

XII,

Zaprosiny Zosi.

„Kochane moje. Przyjedźcie do mnie jutro na obiad, mama prosi wasze mamusi, żeby także przyjechały i pozwoliły wam być tu przed godziną piątą. Będziemy się bawiły i spacerowały przed obiadem i po obiedzie. Pewno zrobiłam dużo błędów w moim liście, nie śmiejęcie się ze mnie, bardzo proszę.

Wasza przyjaciółka Zosia.

List ten otrzymała Kamilka w parę dni po wypadku z lalką. Błędów ortograficznych było w liściku co nie miara, Kamilka nie pokazała go nawet nikomu, nie chcąc narażać Zosi na drwiny, lecz powiedziała matce o otrzymanych zaprosinach.

— Czy cię ta wizyta zabawi? moje dziecko? zapytała pani Marja.

— Bardzo, matuchno kochana — odrzekła Kamilka. Dosyć lubię Zosię, która czuje się tak bardzo nieszczęśliwą!

— To bardzo ładnie z twej strony — pochwaliła ją matka — bo przecież dwa razy byłaś ukaraną z jej powodu.

— Zosia taka była tem zmartwiona, że nie mogę mieć do niej żalu, odpowiedziała Kamilka.

— Cieszę się, że jesteś dobra i wyrozumiała, rzekła pani Marja, całując córeczkę. Odpisz więc, że przyjedziemy napewno.

Kamilka podziękowała matce i pobiegła zawiadomić Madzię i Stokrotkę o jutrzejszej wycieczce. Napisała następnie ładny liścik do Zosi, przyrzekając w imieniu mamusi, że wybiorą się wszyscy, całym domem, to jest dwie starsze panie i trzy dziewczynki do pani Fiszini. Dodała przytem, że ubiorą się skromnie, aby bawić się swobodnie na świeżem powietrzu.

Cały dzień dziewczątka były zajęte przygotowaniem do jutrzejszej wycieczki. Stokrotka chciała włożyć białą muślinową sukienkę, Kamilka i Madzia wołały prościutkie płócienne. Pani Rosburgowa przychyliła się do ich zdania. Stokrotka upierała się, że za-

bierze swoją odzyskaną lalkę, chociaż przyjaciółki mówiły:

— Bądź ostrożną—nie zapominaj o wielkim dębie i o Joasi.

— Przecież jutro nie będzie burzy, ani Joasi... dowodził mały uparciuszek.

— Ale mogłabyś zapomnieć o lalce wśród zabawy, albo upuścić ją i stłuc sama, tłumaczyła Madzia.

— Jakże to przykro zostawiać lalkę w domu!... Biedactwo! Jak musi się nudzić. Nigdy nie wychodzi, nigdy nie widzi nikogo—ubolewała Stokrotka.

Kamilka i Madzia roześmiały się serdecznie, a Stokrotka po chwili wahania wybuchnęła również śmiechem i doszła do przekonania, że daleko rozsądniej będzie zostawić lalkę w domu.

Nazajutrz rano obie starsze dziewczątka odrobiły swe lekcje, jak to czyniły codziennie; o godzinie drugiej ubrały się, a o wpół do trzeciej wsiadły już do powozu, w głębi którego siedziały mamusie, pozostawiając córeczkom przednią ławeczkę.

Dzień był prześliczny, pogodny i cichy. Niezbyt wielka odległość pozwoliła przebyć ją w przeciągu dwudziestu minut. Pulchna pani Fiszini oczekiwała już gości na ganku, a za nią stała Zosieńka, nie śmiejąc wy-

sunąć się naprzód, w obawie wzbudzenia gniewu macochy.

— Dzień dobry kochanym paniom, dzień dobry wam, dzieciaczki—wołała, witając przybyłych. Jakże to uprzejmie ze strony pań, że przyjechałyście wcześniej. Dzieci będą miały czas pobawić się dłużej, a my sobie tymczasem pogawędzimy trochę.

I odrazu przechodząc do zajmującej ją głównie sprawy—dodała:

— Mam do pań wielką prośbę, wyjaśnię ją paniom potem, dotyczy ona tego nicponia Zosi, którą chciałabym powierzyć wam, darować na kilka tygodni, o ile panie pozwolą, mam bowiem zamiar wyjechać w osobistym interesie.

Panie weszły do salonu, a dzieci pozostały na ganku.

— Co powiedziała twoja macocha? dopytywała Stokrotka zaciekawiona. Chce cię podarować?... Dokąd ma jechać bez ciebie?

— Nic nie wiem—odrzekła Zosia z westchnieniem. Od dwu dni bije mnie i potęca, powiada, że mnie samą zostawi, gdy pojedzie do Włoch...

— A ty się tem martwisz? zawołała Kamilka z uśmiechem.

— O, wcale nie! Zwłaszcza jeżeli mam ten czas przebyć z wami! Jakże bym się czu-

ła szczęśliwą!.. Niktby mię nie bił, nigdy nie ukarano by mnie niesprawiedliwie; nie byłabym osamotnioną i nie zaznałabym nudy. Nieraz płacę całymi godzinami i nikt tego nie zauważy, nikt mię nie pocieszył!..

To mówiąc, Zosia uroniła łezkę, ale wnet dziewczynki otoczyły ją kołem, ścisnęły i całowały, zapewniając o swej przyjaźni. W niespełna dziesięć minut już biegały po ogrodzie, bawiły się w chowanego, Zosia śmiała się i była już w najlepszym humorze.

Po dwugodzinnej zabawie, rozgrzane gonieniem się po ogrodzie, powróciły do domu.

— Ach, jakże mi się pić chce! zawołała Zosia.

— Więc dlaczego nie pijesz? zapytała Madzia.

— Macocha mi zabrania — odrzekła Zosia.

— Jakto? Nie wolno ci jest nawet wypić szklanek wody? wtrąciła Stokrotka.

— Ani kropli do obiadu, a przy obiedzie tylko jedną szklankę.

— Ależ to okropne! Biedna Zosieńka! oburzyła się Stokrotka.

— Zosiu! Zosiu! Chodźno co prędzej! rozległ się w tej chwili głos macochy.

Zosia blada i drżąca pospieszyła do salonu. Dziewczynki, przybyłe w gościnę, nie

odważyły się wejść za nią, ale pozostały w sąsiednim pokoju, nasłuchując.

— Zbliź się tu, złodziejko! huknęła pani Fiszini ze złością. Dlaczego wypijaś moje wino?

— Jakie wino? Nie piłam wcale wina, odrzekła Zosia przerażona.

— Jakie wino? Śmiesz jeszcze pytać, ty kłamco bezczelny! Z karafki w mojej ubieralni.

— Zapewniam mamę, że nie wypijałam tego wina i nie wchodziłam wcale do maminego pokoju—odparła Zosia ze łzami.

— Co? Nie wchodziłaś do mego pokoju? Nie weszłaś przez okno? A zkadże te ślady małych stóp na piasku pod oknem mojej ubieralni?

— Zareczam mamie... zaczęła Zosia, ale pani Fiszini nie pozwoliła jej przyjść do słowa i chwyciwszy za ucho, pociągnęła do sąsiedniego pokoju. Pomimo próśb i szlochania dziecka, macocha poczęła ją bić niemiłosiernie, dopóki nie zmęczyła się sama. Wyszła z pokoju czerwona, jak burak. Zosia szła za nią, płacząc rzewnie. W salonie pani Fiszini raz jeszcze zwróciła się do niej i poczęstowała pięścią wreszcie osunęła się na kanapę, ciężko dysząc.

Obecne przy tej scenie panie nie wiedziały co począć z sobą; starały się ukryć

oburzenie w obawie, że biorąc stronę Zosi mogą sprawić zmianę w projektach pani Fiszini, a chciały krzywdzoną nieustannie dziewczynkę przygarnąć i zatrzymać u siebie podczas nieobecności macochy. Siedziały więc obie w głębokim milczeniu a krewka niewiasta wachlowała się po awanturnicznym wybuchu. Wreszcie odezwała się w te słowa:

— To co zaszło przed chwilą tembardziej utwierdza mię w przekonaniu, że będę najszczęśliwszą, rozstając się z Zosią, obawiam się tylko, czy zechcą panie wziąć do siebie tę nieznośną dziewczynę?

— Wcale mię złość jej nie zastrasza — odrzekła pani Marja — jestem pewną, że mnie słuchać będzie.

— Więc zgadza się, droga pani, uwolnić mię od niej? zawołała pani Fiszini z zadowoleniem. Uprzedzam wszakże panią, że nieobecność moja potrwa dość długo, w każdym razie nie powrócę przed dwoma a być może przed trzema miesiącami.

— Niech pani się nie krępuje — odparła pani Marja dość zimnym tonem; przez cały czas jej nieobecności zaopiekuję się pasierbicą pani i bardzo miło mi będzie oddać tę przysługę.

— O jakże jestem pani nieskończenie wdzięczną — zawołała macocha Zosi. Mogę więc rozpocząć przygotowania do podróży?

— Jak tylko pani zechce — odpowiedziała pani Marja tym samym tonem.

— Jakto? Mogłabym wyjechać za trzy dni nawet?

— Chociażby jutro.

— Co za szczęście! Pani jest doprawdy niezmiernie dobra! A zatem odeślę Zosię pojutrze.

— Doskonale. Będę ją oczekiwała.

— Ale przedewszystkiem nie psujcie jej, kochane panie; strofować ją trzeba nieustannie, widzicie jak sobie z nią radzić należy.

Zosia pośpieszyła tymczasem do swych małych gości. Dziewczątka, które wysłuchały całej awantury były przekonane, że Zosia dręczona pragnieniem, wypła istotnie wino w pokoju macochy i że nie miała śmiałości przyznać się do winy.

— Jakże mi jest przykro, moja Zosieńko, odezwała się Kamilka, ściskając płaczącą dziewczynkę za rękę, że nie powiedziałaś szczerze co cię skłoniło do wypicia wina. Mogłaś przecież przyznać się, że byłaś bardzo spragniona. Nie ukarałaby cię tak srogo, jak teraz, podejrzewając o kłamstwo.

— Nie wypilałm tego wina, daję ci słowo, odrzekła Zosia, łkając.

— A cóż znaczą te ślady stóp twoich, o których mówiła macocha.

— Więc nie wskoczyłaś przez okno? pytała Madzia zaciekawiona.

— Nie, nie, nie kłamałabym przed wami—zapewniała Zosia. Nie zaglądałam nawet do okna i nie tknęłam wina.

Dziewczynki nie wątpiły ani na chwilę, że Zosia mówi szczerą prawdę. Wypytywały jeszcze o różne szczegóły, które jednak nie naprowadziły je na myśl, kto był winowajcą w tej sprawie. Poprawiły, o ile się dało, zmiętą i poszarpaną sukienkę biednej Zosieńki, Kamilka pozaszywała rozdarte miejsca, a Madzia uczesała jej włosy. Stokrotka przez ten czas umyła twarz i ręce poturbowanej mocno sierotki, której oczy były jednak opuchnięte i zaczerwienione. Następnie poszły razem do ogrodu, aby zerwać trochę kwiatów i odwiedzić ogrodniczkę.

XIII

W warzywnym ogrodzie.

Zosia po uderzeniach macochy nie mogła jeszcze ochłonąć, a nawet chodziła z trudnością, więc pozostawiając przyjaciółki przy rabatach z kwiatkami, zrywające je na

wiązanki, poszła do chatki ogrodnika, by tam odpocząć.

Żona ogrodnika była to bardzo zacna kobieta i współczuła biednej sierocie. Poczęła wypytywać dlaczego tak na jedną nóżkę utyka?

— Może panienka zbiła sobie paluszek albo upadła nieprzymierzając, jak moja Kasia. Ta sobie tak nogę wykręciła, że ledwie chodzi.

— Jestem zupełnie zdrową — odpowiedziała Zosia.

Ale kobiecina nie dawała za wygrane i jęła wyrzekać na macochę, która jest bardzo porywcza i bije Zosię bez pamięci, jak się zdarzy, po głowie, po karku, po rękach, wszystko jedno. Zosia nie odpowiadała nic, tylko cichutko płakała.

— Nie trzeba się rozrzewniać panieneczko złota—mówiła ogrodniczka—nie należy się też wstydzic i ukrywać, że macocha jest niedobrą dla panienki. Dobrze o tem wiemy! Powiadam nieraz Kasi. „Oj, gdybym ja tobie sprawiła takie lanie, jak nasza pani pannie Zosi, nie byłabyś nieposłuszną”, Czasami Kasia powraca w sukience oberwanej, albo jak dziś naprzykład poplamiona, z rękami i twarzą w piasku. Bo też musiała upaść porządnie z wysoka.

— Gdzie się to wydarzyło?zapytała Zosia.

— Czy ja wiem? Pewno koło dworu. Ale nie chce się przyznać i tylko domyślam się, bo sukienka cała zлана jakimś czerwonym płynem, jakby winem, a piasku też tu niema, jeno koło dworu.

— Jakby winem, powiadacie? pytała Zosia z zainteresowaniem. Zkądże dostała wina?

— Nie rozumiem, doprawdy, a nie chce się przyznać do niczego.

— Czy to nie ona przypadkiem ściągnęła wino z pokoju mojej macochy? zawołała Zosia.

— Bardzo być może, nieraz chodzi tam, zanosząc zioła na kąpiel dla pani. Może i przytrafiło się, że nie zostawszy nikogo, sięgnęła po wino. Gdybym się dowiedziała że tak było, tobym jej różgą dała jeszcze lepiej, niż pani naszej panienusi.

— Moja macocha wytrzepała mnie sądząc, że to ja wypilałam wino, ale wcale tam nie byłam.

Ogrodniczka poczerwieniła z oburzenia:

— Czy podobna — zawołała — żeby panieneczka miała cierpieć niesprawiedliwie przez tę moją Kasię utrapioną? Muszę koniecznie wybadać jak to było z tem winem. Chodź no tu, Kasiu, prędzej.

— Nie mogę, mam, odezwał się głos z sąsiedniej izdebki. Noga mię bardzo boli.

— W takim razie pójdę do ciebie i panienka też niech idzie ze mną.

Weszły razem do izdebki, w której Kasia leżała rozciągnięta na łóżku; nogę miała spuchniętą i zaczerwienioną

— Powiedz że nakoniec w jaki sposób uderzyłaś się w nogę? pytała matka dziewczyny.

Kasia zarumieniła się i nie odrzekła ani słowa.

— To ja powiem, Kasiu, jak to było, podniosła głos matka. Wszłaś do pokoju pani, niosąc jej zioła, zobaczyłaś otwartą butelkę wina, zachciało się tobie spróbować. Pijąc, wylałaś też na sukienkę. Potem zmykałaś przez otwarte okno, żeby cię nikt nie zauważył, a że dosyć jest wysokie, spadając, potłukłaś się i nie miałaś ochoty przyznać się gdzie byłaś, bo dostałabyś porządne baty ode mnie.

— Tak jest, to wszystko jest prawda, szepnęła Kasia, płacząc, ale jestem srodze ukarana za moje łakomstwo, bo bardzo mię ręka i noga boli.

— A czy wiesz niegodziwa dziewczyno, że pani mając panienkę w podejrzeniu, obija ją tak dalece, że panienka prawie chodzić nie może. Myślisz że ci to przejdzie płazem?... Poczekaj, dostaniesz ode mnie taką porcję, aż ci świeczki w oczach staną.

— Proszę was bardzo, nie karzcie jej surowo, jeżeli macie choć trochę życzliwości dla mnie — prosiła Zosia, przerażona groźbami ogrodniczki — widzicie jak Kasię nogą boli! Przeklęte wino! Ile ono narobiło złego! Nie myślmy już o tem i proszę was przebaczcie Kasi, tak samo jak ja jej przebaczam.

— O, jakże, panienska jest dobra i kochana!.. zawołała Kasia, składając ręce. Strasznie mi przykro jest, że panienkę ukarano za moją winę. Gdybym była wiedziała, że tak się stanie nie tknęłabym nigdy tego przeklętego wina! Niech się panienczka na mnie nie gniewa, Pan Bóg to panience sto-krotnie wynagrodzi.

Zosia zbliżyła się do łóżka Kasi, ujęła ją za ręce i ucałowała zawstydzoną dziewczynę.

Ogrodniczka otarła łzę fartuchem i rzekła:

— Widzisz, Kasiu, co ty narobiłaś najlepszego! Panna Zosia wygląda jak gdyby po bitwie z kotami! To ty jesteś przyczyną tego wszystkiego! A ona nie tylko niema żalu do ciebie, ale jeszcze prosi mnie o miłosierdzie nad tobą. Gdyby nie łaska pani-nusi, tobym cię zbiła na kwaśne jabłko, ale dzięki jej protekcji przebaczam ci, Kasiu. Zrobiłaś głupstwo wielkie, sama to zeznajesz,

pamiętaj, żeby się to już nigdy nie powtórzyło.

Kasia płakała rzewnie ze wzruszenia i skruchy. Zosia czuła się szczęśliwą, oszczędziwszy Kasi bólu jakiego sama tak niedawno doznała, a matka winowajczyni była niezmiernie wdzięczną Zosi, nie mając potrzeby ukarania ukochanej córki, co jej zawsze sprawiało wielką przykrość.

Podczas tej rozmowy weszły Kamilka, Madzia i Stokrotka. Żona ogrodnika opowiedziała im o tem co zaszło, wychwalając Zosię i jej wspaniałomyślność. Pochwały te sprawiły dziewczątkom ogromną przyjemność.

— Zapewne czujesz się zadowoloną i szczęśliwą, oszczędziwszy Kasi zasłużonej kary, rzekła Kamilka, zwracając się do Zosi. Obawiałam się, czy nie będziesz uczuwała pragnienia wywarcia na niej zemsty, za to coś przez nią wycierpiała.

— Jestem rzeczywiście zadowoloną — odparła Zosia — lecz nie sądzę, żebym choć przez chwilę odczuwała chęć zemsty. Wiem, jak bolesną jest kara cielesna i dla tego żal mi było Kasi bardziej jeszcze, niż samej siebie.

Kamilka i Madzia ucałowały serdecznie Zosienkę i wszystkie razem pośpieszyły na obiad ku domowi, właśnie bowiem dzwonek oznajmiał, że do stołu podano.

XIV

O d j a z d

Zosia bała się powrócić do salonu. Prosiła przyjaciółki, żeby weszły pierwsze, szła ukryta za niemi, nie chcąc być zauważoną przez macochę. Ale na nic się jej manewry nie zdały. Pani Fiszini rzuciła bystrym wzrokiem po przybyłych i ofuknęła Zosię groźnie:

— Jak śmiesz powracać do salonu? Czy sądzisz, że pozwolę ci zasiąść do stołu, ty złodziejko i kłamczuchu!

— Zosia jest niewinna, proszę pani, odezwała się Madzia odważnie. Wiemy już, kto wypił wino, Zosia powiedziała prawdę, zapewniając, że to nie ona.

— Ee, co tu gadać, moja mała; Zosia naplotła wam jakichś kłamstwo, a wy jej wierzycie. Znam ja ją dobrze i każę podać obiad w jej pokoiku. Niech go sama spożywa.

— To pani jest niedobra, a nie Zosia, zawołała nagle Stokrotka. Kasia od ogrodnika wypła pani wino, a Zosia prosiła jej matkę, żeby ją nie biła, chociaż była przez panią ukarana niesprawiedliwie. Kocham bardzo Zosieńkę, a pani nie kocham wcale!..

— Brawo, brawo, malutka!.. zaśmiała się pani Fiszini z przymusem. Nie można powiedzieć, żebyś była nazbyt grzeczna i uprzejma dla mnie. Ta bajeczka o Kasi i wypicia przez nią wina jest wcale dobrze wymyślona, ale w nią nie wierzę.

— Stokrotka ma słuszną, proszę pani, odezwała się Kamilka. Kasia przynosiła zioła lecznicze do pani pokoju i spostrzegłszy wino, wypła je, poczem wyskoczyła przez okno i zwichnęła sobie nogę. Wyznała wszystko matce, ta chciała ją ukarać, ale Zosia nadeszła w tej chwili i uprosiła, żeby Kasi nie bito. Widzi pani, że Zosia jest niewinną zupełnie w tej sprawie. Ona jest w gruncie bardzo dobra i my ją wszystkie kochamy.

— Ostatecznie Zosia poniosła karę niezasłużoną — dodała pani Rosburgowa — należy się jej teraz zadośćuczynienie. Mówiła nam pani, że obecność jej przeszkadza w przygotowaniach pani do drogi, proszę więc pozwolić, aby dziś jeszcze pojechała z nami.

Pani Fiszini, zawstydzona z powodu dowiedzenia jej niesprawiedliwego postępowania z pasierbicą, nie mogła odmówić prośbie sąsiadek i przywoławszy Zosię, rzekła nadąsana:

— Pojedziesz dziś wieczorem, moja panno, każę przygotować twoje rzeczy. A wi-

dząc błysk radości w jej oczach — dodała kwaśno: „Sądzę, że jesteś zachwycona, mogąc jaknajprędzej rozstać się ze mną, ponieważ nie masz ani serca, ani wdzięczności, nie liczę wcale na twoją tkliwość i ty również nie rachuj na moją. Możesz nie pisywać do mnie, ja też nie mam potrzeby zadawać sobie trudu korespondowania, bo ciebie tyleż obchodzę, co ty mnie. A teraz, moje panie, zasiądźmy do obiadu zwróciła się do gości. Po moim powrocie z zagranicy zaproszę panie wraz z całym naszym sąsiedztwem i przeczytam wam moje wrażenia z podróży. Nieprawdaż, że to będzie bardzo miło?

Zasiedli wreszcie do stołu. Zosia skorzystała, jak zwykle z nieuwagi macochy i, jadła wszystko z ogromnym apetytem. Świetny obiad i pewność, że jeszcze tegoż dnia zostanie oddaną pod opiekę sąsiadek, zatarły zupełnie przykre wrażenia poprzednie.

Po obiedzie dzieci udały się z Zosią do jej pokoiku i tam zapakowały lalkę i dwie skromne jej sukienki, reszta nie zasługiwała na zabranie z sobą.

Wszystkim już śpieszno było do domu. Pani Marja kazała zaprządz konie.

— Jakto? Cóż znowu? Dopiero jest

ósma godzina — mówiła pani Fiszini — chcąc koniecznie zatrzymać gości.

— Załuję bardzo — odrzekła pani Marja — ale wolę wrócić przed nocą.

— Dlaczego przed nocą? Droga jest wyborna, a przytem księżyc świeci.

— Stokrotka jest jeszcze zbyt mała, żeby tak czuwać do późna, obawiam się, że będzie zanadto zmęczona — zauważyła pani Rosburgowa.

— Ależ zważcie, panie, że to ostatni wieczór, który spędzamy razem, Stokrotka może trochę później spać się położyć — upierała się pani Fiszini.

Pomimo próśb i nalegań, panie postanowiły odjechać natychmiast; powóz stał już przed gankiem. Dzieci wkładały pośpiesznie kapelusze, Zosia stała już przy drzwiach jakby obawiając się, by ją nie zapomniano. Pani Fiszini, pożegnawszy sąsiadki przywołała Zosię i rzekła oschłym tonem:

— Może raczysz przynajmniej powiedzieć mi: dowidzenia. Widzę, że jesteś uszczęśliwioną z wyjazdu. Tamte dziewczynki nie odjeżdżałyby od swoich matek, nie urońwszy ani jednej łezki.

— Mamusia nie pojechałaby nigdzie bezemnie — odezwała się Stokrotka — tak samo mamusia Kamilki i Madzi nie rozstaje

się z niemi, to też my kochamy bardzo nasze mamy, a gdyby były złe dla nas, tobyśmy je nie kochały!

Zosia zadrżała, a Kamilka i Madzia uśmiechnęły się na to wystąpienie Stokrotki; matki obie zagryzły usta, żeby się na głos nie roześmiać, widząc minę pani Fiszini, której oczy błyskały gniewem, policzki poczerwieniały z oburzenia, miała widocznie ochotę dać klapsa Stokrotce, ale powstrzymała się w porę i przywoławszy znów Zosię, złożyła pocałunek na jej czole. Pocałunek to był zimny, jakby z obowiązku prostej grzeczności, a przytem nie omieszkała powiedzieć kilka gorzkich słówek:

— Jak widzę — ładne rzeczy opowiadasz o mnie, moja panienko; strzeż się, bo przecież powrócę jeszcze, a wtedy się porachujemy!

Zosia chciała ucałować rękę macochy, ale ta wyszarpnęła swą rękę ze złością wobec czego stropiona tem dziewczynka usunęła się na stronę, a potem z gorączkowym pośpiechem wskoczyła za innemi do powozu.

Kamilka usadowiła się na koźle, a Zosia zajęła jej miejsce na przedniej ławeczce obok Madzi i Stokrotki.

Konie ruszyły. Zosia zaczynała oddychać swobodnie, gdy nagle usłyszano krzyk z ganku, nawołujący do zatrzymania powozu. Zo-

sia omal nie zemdląła ze wzruszenia, obawiając się, że macocha wzywa ją do powrotu. Powóz stanął. Nadbiegł lokaj zadyszany, mówiąc:

— Pani kazała powiedzieć panience, że zapomniała swoje rzeczy, które odeszła dopiero jutro, a może panienka woli powrócić zaraz do domu i odjechać później.

— Dziękuję bardzo Antoniemu i przykro mi widzieć, że się tak zmęczył, by mi oznajmić tę nowinę—odrzekła Zosia pośpiesznie. Proszę bardzo podziękować pani i proszę powiedzieć, że, nie chcąc jej robić ambarasu, wolę obejść się bez moich drobiazgów i poczekać na nie do jutra.

Stangret zaciął konie i w przeciagu kwandransa stanęły już u celu. Z jaką radością Zosia zeskoczyła przed gankiem, lekka jak piórko, dziękując Bogu i zacnej pani Marji za przyszły pobyt pod jej dachem w towarzystwie swych kochanych przyjaciółek. Miała odtąd spać z Madzią w jej pokoiku i tym razem Zosia bez trwogi spała całą noc na swoim łóżeczku i przebudziła się dopiero rano.

XV.

Zosia zjada wilcze jagody i co z tego wynikło.

Od dni piętnastu Zosia przebywała w pięknym dworze pani Marji i tak się czuła zadowolona, że wszystkie jej wady i złe narowy znikły bez śladu.

Po przebudzeniu, wyskakiwała wnet z łóżeczka, umywała się, ubierała pośpiesznie, mówiła paciorek wraz z przyjaciółkami, następnie wszystkie razem zasiadały do śniadania.

Zosia nie potrzebowała już teraz wykraść kawałków chleba, gdy jej głód dokuczał, dawano bowiem tyle, ile tylko zechciała.

W pierwszych dniach nie mogła wierzyć swemu szczęściu; jadła i piła z wielkim apetytem i nikt jej tego nie wzbraniał. Przekonawszy się, że nie potrzebuje objadać się zrana tak dalece, aby jej to na cały dzień wystarczało, gdyż niczego dzieciom nie żalowano, zaczęła być wstrzemięźliwszą i poprzestawała na kromce chleba z masłem i filiżance herbaty lub czekolady. Nie jadła już z taką chciwością i pośpiechem, jak to czyniła z początku, mając wciąż obawę, że

jej każą wstać od stołu zanim swój głód zadowolili. Dziewczątka śmiały się z niej, gdy przyznała się do tej obawy, a pani Marja przyrzekła, że nigdy ją nie wyrzuci z pokoju i pozwoli zjeść spokojnie przygotowany posiłek. Zosia zarumieniona po same uszy obiecała ze swej strony, że pozbędzie się swej żarłoczności.

— Ty zawsze masz minę zaleknionej i śpieszysz się, jakby cię coś gnało — zauważyła pewnego razu Madzia. Przytem ukrywasz się, chociaż chodzi o rzeczy całkiem niewinne.

— A to dlatego, moja droga — odrzekła Zosia — że mi się wciąż wydaje, iż macocha nadchodzi. Zapominam chwilami w jak miłem jestem teraz otoczeniu i jak bardzo czuję się tu szczęśliwą!

Przy tych słowach łza wdzięczności zakręciła się w jej oku. Ucałowała serdecznie ręce pani Marji, która odpłaciła jej gorącym uściskiem.

— Jakże pani jest dobrą dla mnie!... Codziennie proszę Boga, żeby pozwolił mi pozostać tu na zawsze — rzekła z uczuciem.

— Nie oto powinnaś modlić się do Boga, moje dziecko, proś Go przedewszystkiem aby cię uczynił rozważną, posłuszną i dobrą, a także aby serce twej macochy zmiękło żebyś mogła żyć z nią szczęśliwie.

Zosia nic nie odpowiadała, ale po jej mince można było sądzić, że rada pani Marji wydaje się je nazbyt trudną do wypełnienia.

Stokrotka patrzyła na mówiącą z jakimś dziwnym wyrazem, jakgdyby powiedziała rzecz zupełnie niemożliwą do skutecznienia.

Spostrzegłszy to matka, rzekła do niej z uśmiechem:

— Co ci jest, dziecinko? Dlaczego patrzysz na panią Marję z takim niedowierzaniem?

— Bo... bo... mamusiu... nie wiem sama jak to powiedzieć... ale po co prosić Boga o powrót tej niedobrej pani Fiszini, żeby znowu była Zosię?...

— Pani Marja nie powiedziała, że o to należy prosić Boga, tylko Zosi radziła modlić się o poprawę z wad swoich i zmiękczenie serca macochy; wtenczas by Zosię pokochała i starała się ją uszczęśliwić.

— Ależ mamusiu, pani Fiszini nie może stać się dobrą; zbyt nienawidzi Zosię, żeby mogła ją uszczęśliwić kiedykolwiek, a jak tylko powróci, zabierze znowu Zosię i będzie ją dręczyć!...

Pani Marja uśmiechnęła się dobrotliwie, na te dowodzenia Stokrotki i odrzekła:

— Bóg jest tak wszechmocny, dziecko

drogie, że może odmienić serce pani Fiszini, tylko trzeba Go o to prosić gorąco.

— Jabym też chciała, żeby pani Fiszini stała się bardzo dobra, ale wolałabym najwięcej, żeby nie wracała wcale i żeby nam zostawiła Zosię na zawsze!

Stokrotka miała tak zabawną minkę, gdy dowodziła czegoś z przejęciem, że trudno było powstrzymać się od śmiechu, patrząc na nią.

— To coś powiedziała przed chwilą, świadczy o twej życzliwości dla Zosi i o twym dobrem serduszku, rzekła pani Marja, ale gdybyś umiała zastanawiać się głębiej, zrozumiałabyś jak dalece lepiej było by dla Zosi mieszkać przy kochającej ją przybranej matce, aniżeli przebywać wciąż wśród obcych ludzi. Pomimo, że ją wszyscy bardzo lubimy, zawsze szczęśliwszą by się czuła w rodzinnym domu, gdyby miłość macochy zdobyła sobie pozyskać.

— To prawda — wtrąciła Zosia. Będąc kochaną przez matkę, tak jak ty, Stokrotko, czułabym się niezmiernie szczęśliwą i nie doznawałabym tego niepokoju, jaki mię dręczy teraz, co stanie się zemną za kilka tygodni.

Stokrotka westchnęła głęboko, poczem rzekła:

— A jednak ja się bardzo lękam przyjazdu pani Fiszini!...

— I ja również, szepnęła Zosia.

Po śniadaniu panie zasiadły do roboty, a dzieci pobiegły do ogrodu. Kamilka i Madzia poleciły młodszym dziewczynkom wyszukać krzaczki porzeczek i malin, wykopać je i przynieść do posadzenia w dzieciennym ogródku.

— Dokąd pójdziemy? — zapytała Stokrotka.

— Widziałam niedaleko stąd te krzewy, zawołała Zosia, zaprowadzę cię zaraz.

— Możeby lepiej zapytać ogrodnika, zauważyła Stokrotka.

— Chodźmy najprzód same, a jeżeli nie uda się nam wyrwać, wezwiemy na pomoc ogrodnika.

To rzekłszy, Zosia, wzięwszy Stokrotkę za rękę, pobiegła w kierunku gaiku. Jakaż była ich radość, gdy ujrzały krzak okryty jagodami. Zosia rzuciła się pierwsza i zjadała żarłocznie porzeczek i wilcze jagody. Stokrotka spróbowała tylko i powstrzymała się zaraz.

— Korzystaj z okazji, czemu nie jesz? pytała Zosia.

— Przecież dostaniemy owoce na podwieczorek — odparła Stokrotka.

— Daleko przyjemniej jest zjadać wprost

z krzaków — mówiła Zosia — mając pełne usta jagód. Ach, jakie wyborne!

Stokrotka przyglądała się z podziwem, jak można jeść z taką łapczywością. Trwało to dość długo, wreszcie Zosia otarła usta liśćmi, rączki również.

— Dlaczego nie wyjmiesz chusteczki? zapytała Stokrotka.

— Bo nie chcę, żeby zauważono plamy od jagód; pewno bym dostała porządną burę za moje łakomstwo.

— Zawsze jemy umiarkowanie, więc nikt się na nas nie gniewa — odrzekła Stokrotka. Wiemy dobrze, że objadanie się nadmierne jest wielką wadą. Zosia zarumieniła się na te słowa prawdomównej towarzyszki i chcąc odwrócić jej uwagę zachęcała ją do wyrwania krzaczku porzeczek. Za nim się to udało, usłyszały wołanie starszych dziewczynek:

— Gdzie jesteście? Zosiu! Stokrotko! wracajcie prędzej.

Kamilka i Madzia poszły na spotkanie i mówiły z wymówką:

— Cóżecie tu robiły przeszło godzinę? Czekaliśmy na was, a teraz już musimy zabrać się do lekcji.

— Zosia dorwała się do jagód i zjadała...

— Cicho bądź, ty mała plotkarko, przer-

wała Zosia. Chcesz koniecznie by mnie strofowano.

— Nie bój się, nikt cię strofować nie będzie — odpowiedziała Stokrotka z przekonaniem. Nasze mamusie nie są podobne do twojej.

— O co chodzi? pytała Kamilka. Dlaczego nazywasz Stokrotkę plotkarką. Pozwól jej opowiedzieć jak to było.

— Nic więcej się nie stało, tylko że Zosia zamiast wybrać dla was małe krzaczki do posadzenia przez całą godzinę rwała i jadła porzeczkę, a nawet wilcze jagody, a ja przyglądałam się i podziwiałam jak można zjeść tyle jagód odrazu.

— Zebyś tylko nie rozchorowała się, moja Zosieńko — zauważyła Madzia.

— O nie, odrzekła zmieszana — chciało mi się bardzo jeść, więc...

— Coo? Już ci się jeść zachciało zaraz po śniadaniu, wtrąciła Kamilka zdziwiona.

— Nie o żadne potrawy mi chodzi, tylko porzeczkę strasznie lubię, więc mogłabym zjeść jeszcze cały koszyk — odrzekła Zosia nadąsana.

— Nie radziłabym tobie próbować, zaśmiała się Madzia. Ale teraz wracaj z nami do domu.

Zosia czuła już nudności z przejedzenia, ale nie chciała się przyznać do tego.

Szła w milczeniu, a dziewczątka sądząc, że się dąsa, nie zwracały się już do niej i śpieszyły na lekcje.

Matki zrobiły im uwagę, że się dziś bardzo spóźniły. Wnet rozłożyły swe książki i zeszyty i zabrały się pilnie do pracy. Zosia szła jakoś opieszale, jej niezwykła bladość zwróciła uwagę pani Marji.

— Co ci jest? zapytała z zainteresowaniem.

— To wilcze jagody, mamusiu wtrąciła Stokrotka.

— Wilcze jagody? powtórzyła pani Marja.

— Stokrotka sama nie wie, co pleciel... odburknęła Zosia. Nic mi nie jest, mam się doskonale, tylko... trochę mię zemdliło...

W tej chwili Zosia zwymiotowała.

Pani Marja spojrzała na łakomą dziewczynkę z wielkim niezadowoleniem. Nie rzekłszy słowa, wzięła ją za rękę i zaprowadziła do zajmowanego przez Zosię pokoju. Następnie kazała ją rozebrać i położyć do łóżeczka, napoiła ziółkami i zapytała jak się czuje.

— Lepiej znacznie, proszę pani, odpowiedziała Zosia zawstydzona niezmiernie. Niech się pani nie gniewa na mnie! Jaka pani dobra, że mię różgą nie wybiła!

— Byłaś łakomą i Bóg cię skarał, moje dziecko, mówiła pani Marja łagodnie. Te-

raz będziesz musiała poleżeć w łóžeczku i nie pojedziesz z nami na spacer. A szkoda, bo jesteśmy zaproszone na wyborne wiosienki do sąsiadów. Co do bicia różgą, na próżno się lękasz. Nie mam zwyczaju używania takiej kary i sądzę, że bez postrachu różgi nie będziesz już przeładowywać żołądka, przekonawszy się, jakie to wywołuje skutki. Nie zabraniam jedzenia owoców, ale trzeba w niczem nie przesadzać, żeby potem nie zaszkodziło.

Zosia nic nie odrzekła. Była mocno zawstydzona i czuła całą słuszność robionych sobie uwag. Pani Marja odeszła, pozostawiając służącą przy chorej. Zosia nie mogła usnąć, bo nudności jeszcze jej dokuczały. Rozmyślała nad swą nierozwagą i przyrzekała sobie w duszy poprawę.

XVI.

Na pokucie.

W niespełna godzinę wszystkie trzy dziewczątka przybiegły dowiedzieć się o zdrowie Zosi. Były już w kapeluszach i świeżych

sukienkach, oznajmiając, że idą na podwieczorek, o którym wspominała pani Marja.

— Taka szkoda, że nie możesz pójść z nami! zawołała Madzia — byłoby nam daleko weselej!

— Pamiętacie, jak to było przyjemnie, gdy nam pozwolono wejść na drzewa wiśniowe i zrywać jagody do koszyka — dodała Stokrotka. Uzbierałyśmy dużo na konfitury, a przytem wolno nam było jeść ile się podoba, ale myśmy nie używały tej przyjemności tak dalece, jak ty dziś rano.

Madzia spojrzała na Stokrotkę z wymówką i szepnęła:

— Nie mów już o tem, wszak widzisz jak bardzo Zosia jest przygnębiona i smutna.

— O tak — moje drogie — strasznie się wstydzę mego łakomstwa, ale połykałam tak żarłocznie z przyzwyczajenia, ponieważ rzadko miałam sposobność jedzenia różnych przysmaków, więc pożerałam ile się dało. Zapomniałam, że nie jestem u macochy, ale u was, moje drogie.

— Jak kto je tak bez pamięci, to się robi podobny do zwierzątka — zauważyła Stokrotka z powagą.

Madzia widząc błysk gniewu w oczach Zosi, nakazała Stokrotce milczenie. Wszystkie trzy ucałowały Zosię na pożegnanie i poszły czekać na ganku zanim konie zajadą.

W kilka minut potem Zosia usłyszała turkot oddalającego się powozu. Nudziła się całych dwie godziny. Wstała z łóżka przed powrotem całego towarzystwa ze spaceru.

Dziewczynki rozbawione opowiadały z zachwyceniem o rwaniu wisien i przywiozły ich wielki kosz z sobą.

Nazajutrz Kamilka powiedziała Zosi:

— Wiesz? Będziemy dziś smażyły konfitury. Będiesz nam pomagała, a potem mama nam daruje cały słoik wyłącznie do naszego użytku.

— Wybornie. Będziemy miały doskonałe podwieczorki.

— Trzeba będzie dać trochę tej biednej Janowej, która jest chora i ma sześcioro dzieci — powiedziała Madzia.

— O, to za wielkie przysmaki dla tej biedoty! — odparła Zosia, wzruszając ramionami.

— Dlaczegożby to było za wielkim przysmakiem dla Janowej, jeżeli smacznym jest dla nas? niesprawiedliwą jesteś, moja Zosieńko — wtrąciła Kamilka.

— Może zechcesz mi dowieść, że Janowa przyzwyczajoną jest do jadań codzień konfitur? — rzekła Zosia drwiącym tonem.

— Dlatego właśnie, że niema sposobno-

ści jadać ich nie tylko codziennie, ale i od święta, damy jej, mając dość dla siebie — odparła Kamilka.

— Dlaczegoż nie jada chleba, jarzyn i masła? Wcale bym nie zadawała sobie trudu smażenia konfitur dla jakichś brudasów!

— Nikt też cię o to nie prosi! — wmieszała się Stokrotka do rozmowy — Kamilka tylko na żarty zachęcała cię do pomagania w tej robocie.

— Jeżeli wiśnie są dla nas wszystkich przysłane, to i ja mam swoją część, zauważyła Zosia. Należy mi się także.

— Nic ci się nie należy — odrzekła Stokrotka — ale ponieważ nie jestem łakomą i skąpą jak ty Zosiu, to masz moje.

— To mówiąc, Stokrotka chwyciła garść wisien i cisnęła niemi w Zosię, która i tak już mocno rozgniewana, wpadła w złość straszną i uderzyła Stokrotkę pięścią w ramię. Kamilka i Madzia rzuciły się, by nie dopuścić Stokrotkę do odwetu i mała dała sobie wytłómaczyć, że niepotrzebnie szukała zaczepki z Zosią, ale ta ostatnia zamierzała odemścić za otrzymaną zniewagę.

— Puść mnie! wołała do przytrzymującej ją Madzi — muszę uderzyć tę zuchwałą dziewczynę tyle razy, ile wiśni rzuciła mi w twarz. Puść mnie, Madziu, bo i tobie się ode mnie dostanie!

Wobec niezwykłego hałasu, panie popieszyły przekonać się, co się dzieje w dziecięcym pokoju. Właśnie w chwili, gdy Zosia, odtrącając nogami i pięściami Kamilkę i Madzię, miała się rzucić na Stokrotkę, która stała przerażona, jakby w osłupieniu. Obecność starszych powstrzymała Zosię, czerwona z gniewu i oczekującą teraz strasznej kary.

Pani Marja zbliżyła się do niej w milczeniu, wzięła ją za ramię i zaprowadziła do pokoju, którego jeszcze Zosia nie знаła; a który zwano „pokutniczym“. Tam posadziła winowajczynię za stołem i wskazując jej papier i pióro, rzekła:

— Przesiedzisz tu aż do wieczora, masz mi napisać...

— Ależ to nie ja, proszę pani, to Stokrotka napadła na mnie — przerwała Zosia.

— Milcz i nie odzywaj się kiedy cię nie pytają, odrzekła pani Marja i otworzywszy książkę, kazała przepisać Zosi dziesięć razy jakiś wierszyk zakreślony. Jak się uspokoisz nieco, przyjdę, abys przy mnie zmówiła modlitwę, dla przebłagania Boga za twą porywczosć. Obiad ci tu przyniosą i pójdziesz spać, nie powiedziawszy dobranoc swym przyjaciółkom.

— Powiadam pani, że to nie ja, ale Stokrotka winna — zawołała Zosia porywczo.

— Siadaj i pisz! krzyknęła pani Marja, poczem wyszła z pokoju, zamykając drzwi na klucz i powróciła do dzieci, które opowiedziały jej jak się rzecz miała i dowiedziały się, że Zosia jest na pokucie. Pani Rosburgowa ukarała ze swej strony Stokrotkę i nie pozwoliła jej przyjść na obiad.

— A jednak, mamusiu, Stokrotka miała słusność, stając w obronie Janowej, a Zosia postąpiła źle, okazując swą pychę — mówiły dziewczynki.

— To prawda moje dzieci, ale nie potrzebnie Stokrotka uniosła się do tego stopnia, żeby aż rzucać w Zosię wiśniami. Mogła w inny sposób przekonać o konieczności wspierania ubogich i okazywania miłosierdzia.

— Zosia nie chciała wcale słuchać tego, co się do niej mówiło.

— Zosia jest źle wychowana i nie nauczono ją litości nad biedakami, ale ma dobre serce i zrozumiałaby, idąc za waszym przykładem, jak postępować należy. Tymczasem wpadła w szal gniewu i obraża Boga swem zachowaniem.

— Niech mamusia pozwoli mi pójść do niej — prosiła Madzia — jestem pewną, że zalewa się łzami i żałuje szczerze swego uniesienia.

— Nie, dziecinko, musi pozostać sama aż do wieczora. Jest jeszcze nadto wzburzona, żeby wysłuchać cię spokojnie. Za godzinę sama pójde do niej.

Obie dziewczynki były smutne i pomimo, że bawiły się swoimi lalkami, myślały jednocześnie o zajściu pomiędzy małemi przyjaciółkami.

Zosia, pozostawiwszy samą, płakała, ale raczej ze złości niż ze skruchy. Zrobiła szczegółowy przegląd pokoju, szukając sposobności wydostania się w jakibądź sposób. Okno było umieszczone tak wysoko, że nawet przystawiwszy krzesło na stole nie można się było do niego dostać. Drzwi mocne i na klucz zamknięte nie dały się otworzyć. Zosia czuła nieprzepartą chęć darcia czegoś i łamania co pod rękę popadło. Ściany nagie, na szaro mallowane, stół biały drewniany i krzesło wyplatane były to jedyne przedmioty, po których błdził wzrok dziewczynki. Kałamarz był w stół wpuszczany, pozostawiały tylko papier, książka i pióro w obsadce. Zosia chwyciła obsadkę, cisnęła ją na podłogę i podeptała nogami, następnie porwała papier w drobne strzępy, to samo uczyniła z książką, rozrzucając zmięte stronnice na wszystkie strony. Miała zamiar połamać krzesło, ale nie starczyło jej na to siły, więc upadła na ziemię, drżąc z złości i spoco-



Zosia depce książkę i papier.

(Str. 114).

na cała. Ponieważ nie miała już nic do zniszczenia, musiała z konieczności uspokoić się nieco. Zastanowiwszy się nad tem co zrobiła, przeraziła się niezmiernie.

— Co też powie pani Marja? Jaką wyznaczy mi karę? Zapewne dostanę różgi. Ale co tam! Tyle razy byłam bitą przez macochę, że to już na mnie nie sprawia wrażenia. Lepiej o tem nie myśleć i zasnąć sobie trochę.

Tak rozmyślała Zosia, leżąc z zamkniętymi oczyma, ale sen jakoś nie przychodził. Była wciąż niespokojna i oczekiwała otwarcia drzwi ze wzrastającym lękiem. Wreszcie usłyszała zgrzyt klucza w zamku.

Pani Marja, stanąwszy w progu, ogarnęła wzrokiem nieład w pokoju i rzekła do Zosi głosem spokojnym ale stanowczym.

— Proszę mi to zaraz pozbierać!

— Zosia stała teraz oszołomiona, nie zdająca się rozumieć, co się do niej mówi.

— Powiadam ci, zbierz natychmiast te papiery—powtórzyła pani Marja.

Ale i tym razem Zosia nie usłuchała, natenczas pani Marja rzekła:

— Pogarszasz swym uporem swoją winę i karę.

Poczem przywołała Elizę i kazała pokój uprzątnąć, sama usiadła na krześle i przyglądała się, jak kartki podartej książki

i zeszytu rozlatywały się na wszystkie strony, zanim udało się pozbierać.

Zosia stała drżąca. Wiele by dała za to, żeby mogła jakoś naprawić swoją porywczność, po co było drzeć w strzępy książkę i łamać obsadkę!... Ale trudno. Co się stało, to nie odstanie.

Pani Marja kazała Elizie przynieść czysty papier, książkę i pióro, usadowiła Zosię przy stoliku i rozłożywszy przed nią książkę, poleciła przepisać dziesięć razy drukowaną stronicę.

— Dostaniesz na obiad tylko chleb, wodę i trochę zupy—powiedziała odchodząc— przedmioty zniszczone musisz odkupić ze swojej pensji, którą otrzymujesz na łakocie i przyjemności. Zamiast bawić się z moimi dziewczątkami, będziesz spędzać dni w tym odosobnionym pokoju. W ciągu dwugodzinnego spaceru z Elizą nie masz prawa z nią rozmawiać. Jadać będziesz sama. Pozostaniesz na pokucie aż do czasu, gdy uczujesz, prawdziwą i szczerą skruchę, będziesz prosiła Boga o przebaczenie za twoją oschłość dla ubogich, łakomstwo, samolubstwo, porywczosć względem Stokrotki i złość niepomowaną, która cię doprowadziła do zniszczenia wszystkiego, coś miała tu pod ręką. Sądziłam, że zastanę ciebie zupełnie uspokojoną i żalującą za swe winy, ale, nie-

stety, nie zasługujesz na pobłażanie, więc dowidzenia do jutra, moja panienko.

To rzekłszy, zwróciła się ku drzwiom, już brała za klamkę, gdy Zosia rzuciła się ku niej, przypadła do kolan, zatrzymując ją za suknię; okrywała jej ręce pocałunkami i szlochając, mówiła:

— Przepraszam!... Przepraszam!...

Pani Marja patrzyła na nią chwilę, jak gdyby chciała się przekonać, czy żal jej jest szczerzy, następnie pochyliła się, biorąc Zosię w ramiona i rzekła łagodnie:

—Szczerza skrucha wiele przewinień zmazać może, ale ty, dziecko moje, postąpiłaś bardzo źle i nie możesz być zwolnioną od wyznaczonej kary, którą musisz przyjąć w pokorze. Do jutra wieczór nie zobaczysz się z twemi przyjaciółkami i masz wypełnić to wszystko, co kazałam.

— Kara będzie mi słodką do zniesienia, bo chodzi mi tylko o przebaczenie pani — mówiła Zosia pokornie. Byłam zła i niegodziwa, dobroć pani mnie wzrusza, proszę tylko nie gniewać się na mnie!...

Pani Marja ucałowała dziewczynkę, przypominając jeszcze, aby wypełniła zadanie. Na wieczór przyrzekła dać książkę do czytania, poczem wyszła z pokoju, nie zamykając drzwi na klucz. Ten dowód zaufania sprawił na Zosi silne wrażenie. Postanowiła

poprawę i czuła wyrzuty sumienia na myśl, że obrazić mogła tak dobrą i zacną opiekunkę.

Eliza przyniosła na tacy talerz zupy, wodę i chleb, mówiąc z uśmiechem.

— Dostanie panienka prawdziwie wienne pożywienie, ale przegłodziwszy się, wyda się ono bardzo smaczne.

— O tak, moja Elizo, nie jestem i tego warta — zawołała Zosia z westchnieniem.

— Widzę, że panienusia zupełnie już jest zmieniona, a gdyby panienka widziała siebie w złości, to było coś niesłychanego!...

— Strasznie żałuję mego postępu, nigdy się już nic podobnego nie powtórzy — zapewniała Zosia.

Zasiadła do jedzenia. Zupa smakowała jej bardzo, zjadła też z apetytem kawałek chleba i popiła wodą.

Eliza spoglądała na nią litośnym wzrokiem.

— Widzi panienka, jak to nieładnie złościć się i gniewać — zauważyła po chwili — nasze panienczki nie bywają nigdy karane, chyba za jakieś drobne winy, to też zawsze są pogodne i wesołe.

— Tak, tak, moja Elizo, widzę teraz dobrze jak postępować należy; ale wiesz, co ci powiem? Jeżeli byłam ukarana przez macochę, stawałam się zwykle jeszcze gorszą,

niż przedtem, nienawidziłam macochę, a chociaż pani Marja mię ukarała, kocham ją jeszcze bardziej, obudziła się we mnie chęć być dobrą, żeby i ona mię pokochała.

— Bo macocha karała panienkę z zawziętością, a często może nawet dla kaprysu, nasza pani zrobiła to jedynie dla dobra panienusi i zaraz to odczuć można.

— Masz słuszność, Elizo, zupełnie tak samo czuję — odpowiedziała Zosia i skończywszy z jedzeniem, zabrała się wnet do pisania, następnie czytała trochę.

Zbliżał się wieczór. Zosi było smutno, czas się dłużył zanim nadeszła Eliza, żeby zaprowadzić ją do łóżeczka. Przechodząc koło śpiącej Stokrotki, Zosia ucałowała ją w czoło, jakby prosząc o przebaczenie za swój gwałtowny wybuch.

XVII.

N a z a j u t r z .

Cały dzień następny przeszedł smutno, Stokrotka wstydziała się rzucania wiśniami w Zosię i wywołania jej kary, Kamilce i Madzi przykro było, że nie mogą zobaczyć Zo-

si, która spędziła tyle godzin w zupełnej samotności. Eliza przyniosła jej śniadanie i od niej dowiedziała się Zosia, że jej przyjaciółki mają się dobrze, ale są smutne i ciągle o niej rozmawiają, ubolewając nad jej osamotnieniem.

— Jakie one są dobre i kochane!... zawołała Zosia. A Stokrotka, czy jeszcze ma żal do mnie?

— Stokrotka ciągle powtarza, że to ona powinna by ponieść karę za wywołanie gniewu panny Zosi i zamierza przeprosić panią za swą porywczosć.

— Biedna Stokrotka! Jakie zacne ma serduszko. Ale czy one wszystkie wiedzą co ja tu wyrabiałam w tym pokoju, że podarłam książkę i nie chciałam usłuchać pani Marji?

— Owszem, opowiedziałam im o awanturach panią, ale także i o tem, jak panna Zosia żałowała potem swego uniesienia. Panna Kamilka, Madzia i Stokrotka kochają panią podawnemu.

Po odejściu Elizy Zosia zabrała się z zapalem do roboty, gdyż pani Marja kazała jej nauczyć się lekcji, przyniosła przytem zajmujące książeczki i robótkę zaczęta. Widząc Zosię grzeczną, posłuszną i żalującą za swe winy przyrzekła jej, że przed udaniem się na spoczynek będzie mogła zejść

do salonu i uścisnąć swe małe przyjaciółki. Zosia podziękowała serdecznie, a pani Marja powiedziała, że odwiedzi ją jeszcze przed pójściem z dziećmi na przechadzkę i wysłucha zadanej lekcji. Zosia uczyła się z taką pilnością, jakiej sama w sobie nie podejrzewała i ani się spostrzegła kiedy przyniesiono jej drugie śniadanie.

— Jakto? Już? zdziwiła się, widząc Elizę wnoszącą tacę. A co mi Eliza przyniosła dobrego?

— Jajka na miękko, kotlecik, skrzydelko z kurczęcia, kartofelki smażone, wyliczała Eliza, ale żadnych słodyczy ani owoców, bo pani mówiła, że więźniom się takich rzeczy nie daje i że panią jest zbyt rozsądną, aby żądać coś więcej, niż to co jej wydzielono.

Zosia zarumieniła się z radości, słysząc dobre o sobie mniemanie i poczęła ze swej strony wychwalać dobroć i wyrozumiałość pani Marji.

— Panią już się tak u nas poprawiła, że macocha nie pozna jej zupełnie — zawołała Eliza.

To przypomnienie o powrocie macochy nie bardzo pocieszyło Zosię, która starała się o tem nie myśleć wcale. Eliza miała przyjść wkrótce, by pójść z Zosią na spacer. Po godzinnej przechadzce Zosia powinna

była jeszcze odrobić lekcję, zanim podadzą obiad.

Za każdym razem, gdy Eliza wychodziła od uwięzionej, dziewczynki wybiegały na jej spotkanie, wpytując, jak się Zosia miewa? Czy bardzo się nudzi? Pocziwa Eliza opowiadała im szczegółowo jak Zosia jest uległa i z jaką pogodą przyjmuje swą pokutę.

Wieczorem przyszła pani Marja i zaprowadziła Zosię do salonu, mówiąc do oczekujących ją dziewczynek:

— Oto przyprowadzam wam Zosię, nie tą niegrzeczną, kłamiącą, łakomą i złą, ale rozsądną i dobrą dziewczynkę, która warta jest kochania.

Zosia rzuciła się w objęcia swych przyjaciółek, wszystkie trzy płakały z radości. Pomiędzy Zosią i Stokrotką nastąpiło też porozumienie, obie wybaczyły sobie z całego serca i przyrzekły zaniechać wszelkich sprzeczek.

XVIII.

Szczygiełek.

Miesiąc upłynął od tego czasu. Kamilka i Madzia siedziały na ławce ogrodowej i plotły koszyczki z sitowia, które Zosia ze Stokrotką ścinały nad wodą.

— Madziu! Madziu! przynoszę ci ślicznego ptaszka — wołała Zosia zdaleka.

— Cóż to za ptaszek? pytała Kamilka, biegnąc na jej spotkanie.

— Szczygiełek odrzekła Zosia. Stokrotka go dostrzegła, a ja złapałam. Widzicie, jaki miluchny!

— Biedactwo, jakie wyleknione, a jego matka musi być zrozpaczona — mówiła Kamilka z żalem.

— Wcale nie. To ona właśnie wyrzuciła go z gniazdka. Usłyszałam szmer w krzakach, patrzę, a to ptaszek spadło na ziemię i takie było przerażone, że nie ruszało się wcale. Nie śmiałam się do niego zbliżyć — opowiadała Stokrotka. Zosia podjęła go ostrożnie i powiedziała odrazu, że to będzie dla Madzi.

— Dziękuję wam bardzo — zawołała

Madzia uradowana. Zanieśmy go do domu, trzeba mu dać jakie pożywienie. Prześliczny jest ten szczygiełek, nieprawdaż Kamilko?

— O tak. Włożymy go tymczasem do koszyczka, zanim będziemy miały klatkę — odrzekła Kamilka.

Eliza znalazła koszyczek, radziła wyłożyć go mchem i z miękkiej wełny zrobić gniazdko. Stokrotka sądziła, że najlepiej byłoby wziąć ptaszka do łóżeczka na noc, żeby się ogrzał pod kołderką, ale Madzia zrobiła słuszną uwagę, iż możnaby go łatwo zadusić, więc projekt ten nie został przyjęty. Zosia zdecydowała urządzenie gniazdka według swojej metody, byleby jej dostarczono kawałek płótna starego i bawełny.

— Po co płótna? zapytała śmiejąc się Eliza, czy panienska chce mu uszyć koszulkę?

Dzieci roześmiały się, tylko Zosia z poważną miną oczekiwała na potrzebne materiały, a potem, otrzymawszy je, rzekła:

— Nie patrzcie na mnie proszę, zobaczycie gniazdko skończone.

Chwilę majstrowała coś w kąciuku, plecami odwrócona, wreszcie zawołała:

— Skończone.

Dziewczynki poskoczyły ku niej zaciekawione.

— A gdzie jest ptaszek? pytały.

— Jest tam owinięty starannie w ko-

szyku — odpowiedziała Zosia — bardzo mu będzie ciepło.

Dziewczynki wraz z Elizą rzuciły się na poszukiwanie szczygiełka, który omotany mocno w płótno i zawiązany długą nitką ledwie już dyszał.

Rozwinięto copędzej pieluszki. Ptaszek nie ruszał się wcale.

— Ach, ta Zosia zawsze jakieś głupstwo zrobi! oburzała się Stokrotka.

— Nie wiedziałam... doprawdy... myślałam, że dobrze mu będzie w tem otuleni — tłumaczyła się Zosia zakłopotana.

— Poczóż bierzesz się zawsze do tego czego wykonać nie umiesz? mruknęła Stokrotka niechętnie.

Eliza wmieszała się do rozmowy, chcąc spór między dziećmi załagodzić.

— Poczekajcie może uda się ożywić ptaszynę, rzekła spokojnym głosem. Niech panienska przyniesie trochę wina — dodała zwracając się do Zosi, a gdy ta pobiegła spełnić polecenie, Eliza otworzyła dziobek szczygiełka i dmuchnęła weń ostrożnie. Włała mu następnie parę kropel wina do gardziółka. Ptaszek drgnął i zatrzepotał skrzydełkami ku wielkiej radości dzieci:

— Czy to Kasia nauczyła cię takiego

sposobu pielęgnowania piskląt? zapytała Stokrotka drwiącym tonem.

— Tak, ona zazwyczaj tak owija wyległe indyczęta — zapewniała Zosia.

— A czy dużo ich zostaje przy życiu? pytała Stokrotka.

— Ginęły często niewiadomo dlaczego, odrzekła Zosia.

— Przecież nie nogą żyć bez powietrza, ptaki tak samo jak ludzie muszą oddychać — wtrąciła Eliza. Niechże panienki zostawią mi tego szczygiełka, a ja go wyhoduję

Madzia pomagała Elizie w pielęgnowaniu ptaszyny, nazwanej przez nią Mimi. Szczygiełek tak się oswoił, że jadł z ręki, siadał na ramieniu Madzi. Klatka stała w jej pokoju i drzwiczki pozostawały zazwyczaj otwarte. Mimi wylatywał nawet przez okno i powracał na wołanie Madzi. Nieraz budził ją z rana, dziobiąc zlekka w uszko. Dziewczynka odpędzała go, mówiąc:

— Pozwól że mi zasnąć jeszcze trochę!

Szczygiełek wracał do klatki, a gdy jego pani usnęła, przylatywał znowu na jej ramię i świergotał wesoło, jakby chcąc koniecznie ją wyciągnąć z łóżeczka.

Takie scenki powtarzały się codziennie. Madzia odgrażała się, że zamykać będzie klatkę, ale groźby nie spełniała. Wreszcie matka zauważyła, że Madzia wygląda nie-

wyspana, a Stokrotka zdradziła tajemnicę, opowiadając jak Mimi do dnia budzi swym śpiewem i wojuje ze swą opiekunką. Pani Marja kazała na noc zamykać klatkę.

Mimi przywykły do swobody, nie mógł zrozumieć co się stało, więc bił głową o szczebelki, rozbryzgiwał wodę i świergotał tak zawzięcie, że Madzia obudziła się znowu, ale następnie zasnęła i dopiero, gdy weszła Eliza, wstała, jak zwykle, na śniadanie, a małemu więźniowi otworzyła drzwiczki klatki.

Mimi był widocznie zadąsany, nie chciał się ruszyć, dziobał zawzięcie wyciągniętą ku niemu rączkę dziewczynki.

— Jaki on zły!.. wołała Stokrotka przyglądając się ptaszкови.

— Zupełnie tak postępuje, jak ja przed miesiącem — dodała Zosia. Chciało mi się też wszystko niszczyć i wywracać, gdy mnie zamknięto na klucz w pokoju.

Otworzono okna i Mimi, ujrawszy drzewa zielone, nie mógł się oprzeć pokusie, w jednej chwili wyleciał i usiadł na wysokiej sosnie. Dzieci poszły na spacer, pozostawiając go w ogrodzie. Powróciwszy w godzinę potem, dostrzegły szczygiełka skaczącego z gałęzi na gałęź. Odpowiadał na wołanie Madzi swym wesołym świergotem, ale nie miał

ochoty powrócić do klatki, nawet dla zjedzenia ziarna.

Do samego wieczora zbieg nie pokazał się wcale. Dziewczynki mocno były zaniepokojone, obawiając się, czy go nie spotkała jaka przykra przygoda.

Madzia odgrażała się, że go ukarze jeżeli jeszcze się na nią dąsa, ale w gruncie rzeczy żałowała bardzo swego wychowanka.

Nazajutrz, idąc na przechadzkę, rozglądały się dziewczątka, czy nie dojrzą gdzie szczygiełka, gdy naraz Stokrotka odskoczyła w bok i krzyknęła wskazując paluszkami na ziemię:

— Patrzcie! Patrzcie! Biedny Mimi!

Garstka piórek i główka małej ptaszyny pozostały jako jedyny ślad po nim. Matka Stokrotki pochyliła się, żeby lepiej rozpoznać, co się z nim stało. Nie było wątpliwości, Mimi padł ofiarą jastrzębia, nie mając pojęcia o grożącym mu niebezpieczeństwie. Madzia rzewnie zapłakała,

Zabrano resztki pozostałe z wesołej i ulubionej ptaszyny i zamknięte w pudełeczku zakopano na krańcu dziecinnego ogródka. Dziewczynki urządziły tam rodzaj pomniczka z cegieł i napisały na deseczce: „Tu leży Mimi pożarty przez jastrzębia”.

XIX.

Iluminacja.

Rok już upłynął od dnia wyjazdu pani Fiszini zagranicę. Zosia nie otrzymała od niej ani jednego listu i napróżno byłoby twierdzić, że tęskniła za macochą. Czuła się zupełnie szczęśliwą w nowych warunkach. Każdy dzień, spędzony wśród przyjaznego sobie grona czynił ją lepszą i rozwijał dobre skłonności, które złe obchodzenie się z nią macochy zacierało i niweczyło. Przy zacnych matkach dziewczynki wzrastały, korzystając z dobrego przykładu i umiejętnych wskazówek, a Zosia zmieniła się niezmiernie i nikt by nie poznał złej, porywczej i często nadąsanej dziewczynki, jaką była przedtem.

Pewnego dnia pani Marja weszła do dziecinnego pokoju z listem w rękę.

— Mam wiadomość od twojej macochy, Zosieczko, rzekła.

Zosia aż podskoczyła na krześle. Zarumieniła się, potem zbladła i ukryła twarz w dłoniach, zalewie mogąc powstrzymać cisnące się do oczu łezki.

— Myślisz zapewne, że macocha zape-

wiada swe przybycie i zamierza zabrać cię do siebie — odezwała się pani Marja — przeciwnie, pisze, że jej nieobecność znacznie się przedłuży, że przebywa obecnie w Nicei, gdzie zaślubiła hrabiego Błagowskiego, a jednym z warunków jej zamężścia jest, iż nie będziesz mieszkała z nimi. Prosi mię więc o umieszczenie ciebie na pensji, o ile nie mam zamiaru mieć cię dłużej u siebie. Cóż ty na to, Zosieńko? Czy wolisz być na pensji, czy pozostać nadal z nami?

— O droga panil! zawołała Zosia, rzucając się w objęcia pani Marji, niech pani mnie od siebie nie odda! Będę panią kochała jak matkę rodzoną, postaram się być posłuszną, godną jej pieczołowitości i uczucia.

— A więc rzecz ułożona — odparła pani Marja, przyciskając Zosię do serca — będziesz odtąd moją trzecią córeczką. Byłam pewną, że wolisz pozostać z nami, niż przebywać na pensji.

— Dziękuję pani za odgadnięcie moich życzeń. Obawiam się tylko — dodała Zosia — że przyczynię pani dużo kosztu.

— Nie lękaj się, moje dziecko, ojciec twój pozostawił znaczny majątek, który jest twoją własnością i wystarczą na dziesięciokrotnie większe potrzeby.

Ucałowawszy raz jeszcze panią Marję,

Zosia pośpieszyła oznajmić swym małym przyjaciółkom o wielkiej nowinie. Zapanowała niezmierna radość. Wszystkie dziewczątka, wzięwszy się za ręce, poczęły tańczyć w koło, krzycząc przytem tak głośno, że Eliza nadbiegła, myśląc, że coś straszного się stało. Dowiedziawszy się o powodach niezwykłego zamieszania, dobra dziewczyna podzieliła ogólną radość.

— Pomyśl tylko, moja Elizo, jakie szczęście! wołała Stokrotka zacierzewiona. Zosia zostaje z nami na zawsze. Pani Fiszini wyszła zamąż i nie chce mieć Zosi przy sobie. Jakie szczęście, jakie szczęście!...

Dziewczynki uradowane wciągnęły Elizę do koła i wytańcowywały w najlepsze. Hałaśliwym okrzykiem nie było końca. Co chwila ktoś z domowników zaglądał do dziecinnego pokoju, dla przekonania się, co się tam dzieje i każdy wychodził uśmiechnięty i rozpogodzony, gdyż wszyscy polubili Zosię i litowali się nad dzieckiem, mającem tak nie-dobrą macochę.

Wreszcie cztery dziewczątka, znużone tańcem, opadły na krzesła. Eliza również już tchu złapać nie mogła.

— Czy panienki wiedzą, że na wielkie uroczystości urządzą iluminacje? rzekła w końcu. Musimy dziś wieczorem uczcić pannę Zosię zapaleniem świateł.

— Zkądże dostaniemy lampki, moja Elizo?

— Zrobimy same.

— Z czego? Z czego? dopytywała Stokrotka niecierpliwie.

— Z łupin orzechów włoskich, do których przymocujemy świeczki.

— Ależ to znakomity pomysł! Jakaś ty mądra, moja kochana Elizo! wołała Stokrotka zachwycona.

Wszystkie dziewczynki otoczyły Elizę, dopytując, jak się urządzi iluminację, ścisnęły ją, wieszały się na szyi, zaglądały jej w oczy. Nie mogąc już obronić się od ich natarczywości, Eliza wyrwała się przemocą, uciekła do swego pokoiku i zamknęła drzwi na klucz. Rozswawolone dziewczynki pukały do drzwi, prosiły, żeby jeszcze z niemi potańczyła, ale Eliza była nieubłagana.

Dzieci nasłuchiwały chwilę. Wydało się im, że słyszą jakiś dziwny chrzęst.

— Co tam Eliza wyprawia? szepnęła Zosia, zdawaćby się mogło, że piecze kasztany, które pękają z łoskotem.

Stokrotka zaglądała przez dziurkę od klucza, ale nic dopatrzeć nie mogła, gdyż Eliza odwróconą była plecami do drzwi.

— Mam pomysł — zawołała Kamilka, obejdźmy naokoło i zaglądnijmy przez okno. Nie oczekując nas z tamtej strony, nie będzie miała czasu się ukryć.

— Wyborna myśl — podchwyciła Zosia — należy tylko działać ostrożnie, aby ją nie spłoszyć. Idźmy na paluszkach, nie mówiąc ani słowa.

Dziewczątka ostrożnie obeszły część domu i stanęły pod oknem Elizy, ale ponieważ to był wysoki parter, nie mogły zaglądać do wnętrza. Za przykładem Kamilki wszystkie naraz znalazły się na kratkach, rozpostartych na murze dla podtrzymania dzikiego wina, i cztery główki spoglądały ciekawie przez szyby. Eliza krzyknęła i zarzuciła wnet fartuch na komodę, przed którą coś urządziła tajemniczo, ale nie było rady, dzieci już dostrzegły, że tam były włoskie orzechy.

— Eliza tłucze orzechy, przygotowuje iluminację!.. wołały uradowane.

— Jeżeli już podpatrzyłyście co robię, chodźcie tu do mnie pomagać trochę, bo jeszcze jest z tem dużo pracy.

Dziewczynki zeskoczyły na ziemię, obiegly znów dom i wpadły do otwartego już pokoiku. Zostały przeszło setkę rozłupanych na równe części orzechów, które miały stanowić lampki, każda z dziewczynek, uzbrojona w nóż ostry, pomagała z zapalem i w niespełna godzinę około dwiestu podstawek zrobiły same.

— Teraz musimy się zabrać do roz-

puszczania tłuszczu—rzekła Eliza—a potem będziemy wkładać knoty w napełnione łupiny.

Małe pomocnice wywiązały się dobrze z zadania, a gdy już lampki były gotowe, ułożono je ostrożnie w koszyku.

— Umieścimy lampki na kominkach, stołach, półeczkach i zapalimy, jak się tylko ściemni, mówiła Eliza.

Mamusi siedziały w salonie, zajęte robotkami, podczas gdy cała czwórka z Elizą na czele weszła, niosąc koszyk. Dzieci oznajmiły, że z powodu zamążpójścia pani Fiszini i pozostawienia tu Zosi na stałe, urządzają dziś wspaniałą iluminację. Pomysł ten podobał się obu paniom, pomagały dzieciom ustawiać lampki w miejscach bezpiecznych, żeby nie wzniecić pożaru. Nigdy z taką niecierpliwością nie oczekiwano wieczora; nawet ulubiona przez dzieci przechadzka była tym razem skróconą. Stokrotka poczęła wołać, że już gwiazdy zabłysły na niebie, a więc trzeba pośpiesznie wracać i rozpocząć iluminację.

W pokojach było zupełnie ciemno, więc efekt drobnych światełek, okalających kominiki, szafki, półeczki, stanowił coś niezwykłego. Dziewczynki były zachwycone, klaskały w rączki, skakały, jednym słowem uciecha była wielka, a gdy mamusi zaproponowały zabawę w chowanego, zapanowała niezmier-

na radość, ukrywano się po wszystkich kątach, w pokojach, na schodach, w korytarzach, mamusi i Eliza przyjmowały udział w ogólnej wesołości.

Po dwugodzinnej bieżaninie i śmiechu trzeba było wreszcie zakończyć ten dzień szczęśliwy. Dzieci dostały jeszcze różne dobre przysmaczki do poduszki, podano im ciastka, słodki kremik i owoce w sypialni. Eliza została zaproszona na tę ucztę, ponieważ jej pomysł tak świetnie się udał. Krępowwała się nieco, ale dziewczątka posadziły ją z mocą i nakarmiły słodyczami, a pozostałe ciastka zawinęły w papier i oddały Elizie, żeby miała jeszcze na dzień jutrzejszy.

Zosia dziękowała serdecznie małym przyjaciółkom za okazaną życzliwość i czuła się teraz jakby należąca do rodziny.

XX.

Uboga kobieta.

— Zrobimy dziś, drogie dzieci, długi spacer, rzekła pewnego dnia pani Marja. Czas jest prześliczny, nie gorąco, pójdziemy do lasu wiodącego do młyna.

— O, nie wezmę już tym razem mojej lalusi—zawołała Stokrotka ze śmiechem.— Czy nie wie mamusia, co się dzieje z Joasią? zapytała Kamilka.

— Przychodził do mnie nauczyciel ze szkoły wiejskiej i opowiadał, że jest z niej bardzo niezadowolony. Nic nie robi, inne dziewczęta namawia do złego, a co najgorsze, kradnie co się tylko da, chustki kolorowe swych towarzyszek, ich bułki, pióra, papier, jednym słowem przykład jej działa zgubnie.

— Zkąd wiadomo, że to Joasia zabiera różne przedmioty? zapytała Madzia. Może dziewczęta gubią swe chustki i drobiazgi.

— Złapano ją kilkakrotnie na gorącym uczynku — odparła pani Marja — przełożona szkoły zauważyła, że Joasia ukrywa pod fałdami spódniczki skradzione rzeczy, więc teraz codziennie przed wyjściem ze szkoły zatrzymuje Joasię i każe przetrząsać, czy czego nie ściągnęła.

— Czyż matka, która ją tak mocno wybiła za lalkę skradzioną, nie karze teraz Joasi? zapytała Stokrotka.

— Matka ją wytrzepała porządnie wówczas, gdyż żal jej było prezentów, jakie miała od nas otrzymać, ale naogół widocznym jest, że ją bardzo źle wychowuje i sama zły przykład daje, zauważyła pani Rosburgowa.

— Jakto? Więc młynarka też kradnie? zdziwiła się Zosia.

— Kradnie w inny sposób niż córka — odrzekła pani Marja. Razem z mężem za-

bierają mi drzewo z lasu, ryby ze stawu, które potem na targu sprzedaje. Joasia to wszystko widzi i postępuje tak samo, jak rodzice.

Spacer był bardzo przyjemny w cieni-
stym lesie. Zdaleka dzieci dostrzegły Joasię, która na ich widok uciekła pośpiesznie do młyna.

— Patrz, Zosiu, Joasia przygląda się nam przez otwór śpichrza, rzekła Stokrotka.

— Ostrożnie! Joasia ciska w nas kamieniami, zawołała Kamilka.

Istotnie niegodziwa dziewczyna rzucała z góry ostre kamienie, mogące poranić boleśnie. Pani Marja oburzona tem zuchwalstwem, postanowiła zaraz po powrocie ze spaceru przywołać młynarza i poskarżyć się na jego córeczkę. Tymczasem zawrócono w inną stronę, nie chcąc przerywać milej przechadzki. Matki usiadły w cieniu starych dębów, na których widniała nieskończona ilość żołądzi.

Dzieci zabawiały się ich zbieraniem i miały już pełne kieszonki, gdy nagle usłyszały szelest, a następnie jęk przytłumiony, który zwrócił ich uwagę.

— Chodźmy zobaczyć, kto tam płacze, zawołała Kamilka.

Wszystkie cztery dziewczynki pobiegły w tę stronę, skąd jęk żalony dochodził

i ujrzały przed sobą, małą wątłą dziewczeczkę lat dwunastu może, w łachmanach, siedzącą na ziemi. Szlochała rzewnie i tak była w swym smutku pogrążona, że nie słyszała kroków zbliżających się do niej dzieci.

— Biedactwo! Jakie ciężkie musi mieć strapienie! zawołała Madzia.

Dziewczynka usłyszawszy głos obcy przy sobie, zatrwożyła się i już chciała uciekać, ale Kamilka przemówiła do niej ze współczuciem:

— Nie lękaj się, nic ci złego nie zrobimy.

— Dlaczego płaczesz? dodała Madzia, z litością przyglądając się nieznajomej, która wybuchnęła jeszcze głośniejszem szlochaniem.

Zosia i Stokrotka podeszły bliżej i starały się pieszczotliwymi słowami uspokoić rozżaloną. Wreszcie udało się wydobyć odpowiedź.

— Jesteśmy w tych stronach od miesiąca za ledwie—mówiła uboga dziewczynka—matka moja ciężko zaniemogła i nie może już pracować. Sprzedałam wszystko cośmy miały, żeby kupić chleba, chciałam jeszcze tę sukienczynę, którą mam na sobie spieniężyć we młynie, ale nie chciano jej nabyć, wygnali mię, a mała córka młynarzy ciskała we mnie kamieniami.

— Poznając odrazu psotę Joasi, zauważyła Stokrotka.

— O, tak, tak! Matka wołała na nią tem imieniem i kazała zaprzestać, ale nie-dobra dziewczynka chwyciła mnie za ramię tak mocno, że aż rozplakałam się z bólu. Żeby tylko miała za co kupić matce chleba, mama jest bardzo osłabiona i od wczoraj jeszcze nic w ustach nie miała...

— Więc i ty pewnie strasznie jesteś głodna? pytała Zosia.

— To nic nie szkodzi, panienko, mogę znieść głód, zresztą, idąc do młyna ubierałam trochę żołądki.

— Jadłaś żołądki? Biedne dziecko! zawołała Kamilka, przejęta do głębi ciężkim losem dziewczyny. Poczekaj, mamy tu z sobą bułeczki i śliwki, zaraz ci przyniesiemy.

— Ależ naturalnie, oddamy jej cały nasz podwieczorek i poprosimy mamusię, żeby dopomogły im jakimś pieniężnym datkiem, postanowiły litościwie dziewczątka i wnet pośpieszyły wykonać swój zamiar. Matki, wzruszone opowieścią, podażyły za dziećmi. Zosia ze Stokrotką wyprzedziły wszystkich, niosąc koszyk z prowiantami.

— Jedz, moje dziecko, a następnie powiesz nam gdzie mieszkasz i jak się nazywasz, przemówiła pani Marja łagodnie, gładząc dziewczynkę po twarzy.

— Dziękuję pani bardzo — odrzekła z wdzięcznością — ale wolę to wszystko zanieść mojej matusi.

— A sama wcale jeść nie będziesz?

— Obejdę się, jestem dość silna i zdrowa, odpowiedziało biedactwo, ale jej blada twarzyczka zaprzeczała słowom. Wziąwszy koszyk do ręki, dziewczynka zatoczyła się i musiała oprzeć się o drzewo, pomimo to, zapewniała jeszcze szeptem:

— Niech się panienki nie boją, to tylko tak ze wzruszenia, bo ja mam dość siły...

— Dajże mi ten koszyk, zaniosę ci go aż do domu — wtrąciła pani Rosburgowa, przejęta niedolą dziecka — czy mieszkacie stąd daleko?

— Tuż za lasem — odrzekła mała.

— Jak się twoja matka nazywa?

— Zowią ją „matka Fregata“, ale to nie jest prawdziwe jej nazwisko, bo nazywa się Franciszka Lecomte.

— A dlaczego zowią ją matką Fregatą?

— Bo mój ojciec był żeglarzem.

— Gdzież jest twój ojciec? Czy nie jest z wami? zapytała pani Rosburgowa z zainteresowaniem.

— Niestety, niema go i to jest właśnie nasze nieszczęście — odrzekła dziewczynka. Ojciec popłynął przed kilku laty na okręcie, który podobno rozbił się lub zaginął. Nie

otrzymaliśmy żadnych wieści od tatusia. Matka zaniemogła ze zmartwienia. Nie mamy już nic do sprzedania ani żadnych środków do życia. Co pocznę teraz, żeby matkę ratować?

Dziewczynka rozplakała się znowu, a pani Rosburgowa niezmiernie wzruszona jej opowiadaniem, pytała dalej.

— Czy nie pamiętasz nazwy okrętu, na którym ojciec służył? A może znacie nazwisko kapitana?

— Wiem doskonale — odrzekła zagadnięta — fregata Sybilla pod dowództwem kapitana Rosburga.

Młoda kobieta krzyknęła i porwawszy przerażoną dziewczynkę w objęcia zawołała:

— Wszak to statek mego męża!.. Biedne dziecko i ty tak samo, jak moje małeństwo, pozostałaś sierotą! Twoja matka także oplakuje męża, tak samo jak ja niepokoję się o zaginionego, który być może żyje! Nie lękaj się już, dziecko drogie, o swoją matkę i o jej przyszłość, zajmę się waszym losem, prowadź mię tylko jaknajśpieszniej do niej, żebym mogła ją pocieszyć.

Pani Rosburgowa, trzymając za rękę dziewczynkę, która powiedziała jej, że się nazywa Lucynka, poszła prędko we wskazanym kierunku; pani Marja z czterema dziewczątkami szły za niemi w milczeniu. Zna-

lazły się wkrótce przy rozwalonej na poły chatce drwała; brakło w niej okien, a drzwi były tak niskie, że musiano nachylić się, przestępując próg wysoki, przytem ciemność, panująca we wnętrzu, nie dozwalała rozpoznać w pierwszej chwili, gdzie się znajduje chora. Oswoivszy się dopiero z tym mrokiem, dojrzała pani Rosburgowa wychudłą postać, leżącą w łachmanach na posłaniu ze mchu. Żadnego mebla, żadnych sprzętów gospodarskich nie było naokół. Łzy cisnęły się do oczu na widok tej nędzy. Nieszczęśliwa kobieta wyglądała jak cień, oczy miała zapadłe głęboko, można było zauważyć niepokój, z jakim oczekiwała powrotu córki, która za cenę ostatniej sukienki miała zdobyć trochę pożywienia dla matki zgłodniałej.

Pani Rosburgowa zrozumiała, że w danej chwili zaspokojenie głodu stanowiło pierwszą potrzebę obu tych istot wynędzniałych, otworzyła więc koszyk i podzieliła jego zawartość pomiędzy matką i córką. Chleb i owoce szybko zostały zjedzone i dopiero po tym skromnym posiłku pani Rosburgowa objaśniła chorej kim jest, wypytywała o męża, który przepadł bez wieści i przyrzekła najsolenniejsz zaopiekować się zarówno chorą jak i Lucynką.

— Przyszłę tu zaraz wózek i konie,

które zawiozą was do wioski—mówiła młoda kobieta—tam znajdziemy dla was mieszkanie i będziecie miały być zapewniony. Za parę godzin opuścicie ten kąć ohydny, gdyż powietrze tu jest wilgotne i niezdrowe.

Pożegnała pośpiesznie zdumioną i uszczęśliwioną Franciszkę, nie dając jej możności podziękowania i wyszła za próg, by połączyć się ze swoją gromadką, oczekującą przed chatką na jej powrót. W drodze nie rozmawiano prawie. Pani Marja odczuwała boleść swej towarzyski, w której obudziły się wspomnienia ukochanego męża, na widok opuszczonej wdowy po żeglarzu z tegoż samego statku, z tej Sybilli, która ich obu uniosła na falach i być może pograżyła razem w morskie odmęty.

Zbliżając się do wsi, pani Rosburgowa poprosiła panią Marję, żeby zechciała jej towarzyszyć do mieszkania, o którym wiedziała, że jest do wynajęcia i byłoby odpowiednie dla chorej. Okazało się, że domek jest zupełnie odnowiony, otoczony ogrodem, składającym się z drzew owocowych i zasadzonego warzywa, pokoiki były jasne i dość obszerne. Pani Rosburgowa postanowiła zaraz rozmówić się z właścicielem domu, prosząc panią Marję, aby powróciwszy z dziećmi do siebie, wysłała natychmiast konie po Franciszkę i Lucynkę, a również kazała do-

starczyć nieodzowne dla nich sprzęty, zanim się zakupi wszystko, co będzie potrzebne do małego gospodarstwa. Pani Marja pośpieszyła spełnić to polecenie, dzieci z pomocą Elizy zbierały moc rzeczy przeróżnych dla posłania protegowanym. W jednej chwili nabierała się tego taka ilość, że na jednym wózku nie dało się pomieścić. Dziewczątka w swej hojności nie szczędziły niczego, co mogłoby biedaczkom życie umilić. Trzeba było większą część tych gratów i gracików zostawić na miejscu i wybrać tylko najpożyteczniejsze. Eliza nie żałowała trudu i mądrze wybrała wszystko, co dziś jeszcze mogło służyć do wygodnego przespania się i sporządzenia wieczerzy. Resztę odłożono na potem i wóz napakowany wyruszył w stronę wioski.

XXI.

Franciszka z córką na nowej siedzibie.

— Mamusiu droga, czybyśmy nie mogli pójść z Elizą do białego domku i pomóc Franciszce i Lucynce urządzić się na nowem

mieszkanu — prosiła Kamilka. Jakże byłoby miło widzieć ich zdziwienie, gdy tam przyjadą!

Pani Marja pozwoliła dziewczynkom dokończyć dobry uczynek i zgodziła się na spacer dzieci z Elizą do wioski.

— Mamusiu, czy możemy zabrać z sobą koszulkę, spódniczkę, sukienkę i pończoszki dla Lucynki, trzebaby zanieść jej jeszcze buciki i chusteczkę na głowę — mówiła Madzia.

— Naturalnie, moje dziecko, bardzo się cieszę, że o tem pomyślałaś — odrzekła matka — weźcie także mój szlafrok i starą suknię dla Franciszki. Wszystko to przyda się im bardzo, zanim pani Rosburgowa kupi dla nich ubranie.

Madzia pobiegła oznajmić Elizie i młodszemu dziewczątkom tę dobrą nowinę. Spory pakunek był natychmiast zrobiony i Eliza niosła go, towarzysząc dzieciom w wyprawie do białego domku, w którym zastano panią Rosburgową, urządzającą mieszkancko i dyrygującą ustawianiem przywiezionych na wózku rzeczy. Okazało się wszakże, że o wielu nieodzownych drobiazgach zapomniano w pośpiechu.

— Trzeba dostać gdzie drzewa do ugotowania zupy — rzekła Eliza.

— Niema też soli, ani łyżek do jedzenia tej zupy — zauważyły dziewczątka.

— A na czym położymy masło i jajka? pytała Stokrotka, niezmiernie przejęta ważnością chwili.

Pani Rosburgowa poleciła Elizie udać się do sklepu wioskowego i nabyć wszystko, czego brakło, a dzieci tymczasem nakrywały stół, rozstawiały talerze, przysunęły dwa krzesła do stołu, na którym stała butelka wina i leżał bochen chleba.

Eliza przyniosła różne zapasy, nie zapomniała też o cukrze, mając zamiar dać wino grzane chorej i osłabionej Franciszce. Kupiła spory dzbanek do wody, bo o tem jakoś wszyscy zapomnieli. Wkrótce zabłysnął ogień w kuchence, zupa gotowała się w rondelku, jajecznicę smażyła się na patelni.

Turkot wozu oznajmił, że oczekiwane matka z córką przybyły na nową siedzibę. Wszyscy wyszli na spotkanie i ostrożnie zdjęto z wozu bladą i ślaniającą się żonę żeglarza, która wdzięczne spojrzenie utkwiała w swą wybawicielkę.

Lucynka tak była przejęta widocznym osłabieniem matki, że nic poza nią nie widziała dokoła, ale ujrawszy ją na czystej pościeli, leżącą z błogim uśmiechem na wynędzniałej twarzy, ożywiła się, oczy jej roz-

błysły radością, smutek i niepokój znikły bez śladu, a łzy wdzięczności płynęły po zaróżowionych policzkach. Wzruszenie tamowało jej mowę; nie mogła przypaść do kolan swej dobrodziejki, chwyciła tylko jej rękę i przyciskała do ust, szlochając.

— Uspokój się, moje dziecko, — powiedziała łagodnie pani Rosburgowa — nie mnie powinnaś dziękować, ale Bogu miłosiernemu, który pozwolił mi spotkać was i dopomóc w niedoli. Przestań płakać, żeby matce nie zakłócać spokoju, którego tak potrzebuje. Przy dobrem odżywianiu wkrótce wyzdrowieje. Eliza właśnie podaje jej zupę i gorące, osłodzone wino. A ty, biedna dzieciно, zasiądź za stołem i zjedz również co ciepłego, bo pewno ci się już jeść chce porządnie.

Dzieci zajęły się wnet Lucynką i nakładały jej na talerz jajecznicę, mięso, dolewały wina do wody, a następnie zajęły się toaletą. Bardzo im zależało na tem, żeby jak najprędzej zrzuciła swe łachmany i przywdziała przyniesione ubranie. Pomagały wszystkie cztery w strojeniu Lucynki i cieszyły się jak ładnie wygląda w czystej sukience i chusteczce zawiązanej na piersiach. Matka, ujrawszy ją, rzekła z uczuciem:

— Niech was Bóg błogosławi, panienci kochane, oby wam stokrotnie wynagrodził to wszystko, co dla nas robicie. Niechże ci

się przyglądnę zbliska, moja Lucynko, dodała zwracając się do córki. O, mój Boże! Gdybyż twój ojciec mógł cię widzieć w tej chwili!...

Głowa jej opadła na poduszki, ukryła twarz w dłoniach i zapłakała. Pani Rosburgowa poczęła ją pocieszać, mówiąc:

— Wszystko, co nam Bóg zsyła, jest dla naszego dobra; gdyby młynarka nie była wypędziła biednej Lucynki, nasze dzieci nie usłyszałyby jej żalosnego łkania, jabym nie zapytała ją o nazwisko i nie dowiedziała się w jak ciężkiem znajdujecie się położeniu. Szczęście i nieszczęście nasze jest w ręku Boga, powinniśmy przyjmować wszystko z Jego ręki; bądźmy pewni, że przyjęta w pokorze największa niedola w pomyślność się zamieni.

Słowa zacnej opiekunki uspokoiły chorą; oddawała się teraz całkowicie radości posiadania nareszcie swego kąta, łóżka, bielizny, nie potrzebowała już teraz troszczyć się, co jej jutrzejszy dzień przyniesie, nie zazna głodu i nędzy, a dziecko jej również będzie miało przyszłość zapewnioną, chociażby jej nie stało na świecie.

— Jutro, kochana pani Franciszko, pojedę do miasteczka i nabędę niezbędne dla was sprzęty, ubranie, wszystko czegośmy narazie nie mogły sprowadzić — mówiła pani

Rosburgowa, żegnając chorą. — Będziemy u was częstemi gośćmi, o ile zaś okaże się jakaś potrzeba, proszę mię zawiadomić. Tymczasem pozostawiam tę małą sumkę na drzewo, świece i różne wydatki. Jak tylko pani wyzdrowieje, wynajdę stosowne zajęcie. Proszę się nie martwić, jeść, spać, nabierać sił i błagać Boga, by nam powrócił naszych mężów, bo wszystko jest w Jego mocy.

To rzekłszy, pani Rosburgowa przywołała dzieci, które przyrzekły Lucynce odwiedzić ją jaknajprędzej i cała gromadka powróciła do domu, gdzie pani Marja zaniepokojona już była zbyt długą jej nieobecnością.

Dziewczynki z radośnym szczebiotem rzuciły się na powitanie, opowiadając o wdzięczności niezmiernej Lucynki i jej matki, o wszystkich szczegółach pobytu w białym domku, a gdy udały się na spoczynek, gwarzyły jeszcze chwilę z Elizą i między sobą o wypadkach dnia. Nazajutrz już od rana pierwszą ich myślą było odwiedzenie Lucynki i pani Marja przyrzekła udać się tam z niemi, gdyż pani Rosburgowa już zerwała się wcześniej i wyruszyła po zakupy do miasteczka.

Chora miała się znacznie lepiej, zwlekała się nawet z łóżka i pomagała nieco Lucynce w gospodarowaniu. Lucynka poprosiła

uprzejmie sąsiadów o pożyczenie miotły, zrobiła porządek w mieszkaniu i przed domem, zasłała łóżka, powycierała kurze, nie mogła się dość nacieszyć niespodzianą a tak pomyślną zmianą w ich losie i oczekiwała z upragnieniem przybycia swych zacnych opiekunek, gdy właśnie weszła pani Marja z dziećmi, niosącemi różne zapasy do śniadania. Lucynka zakrzętnęła się wnet przy ogniu, nie chcąc pozwolić, aby panienki walały białe rączki i czyste sukienki.

— A czy potrafisz sama zrobić omlet? Ugotować zupę? — pytała Stokrotka.

— Potrafię, naturalnie że potrafię, trudniejsze rzeczy gotowałam nieraz, kiedy nam się lepiej działo — odpowiedziała Lucynka. Mama pracowała na chleb, a ja gospodarowałam w kuchni i w domu.

Po powrocie z wycieczki, dzieci zabrały się pilnie do lekcji, które były dnia poprzedniego nieco zaniedbane. Pani Rosburgowa powróciła o południu, zrobiwszy moc sprawunków przeznaczonych dla białego domku. Wszystko to zostało odwiezione, a gdy dzieci po śniadaniu udały się znowu na oględziny, zastały Franciszkę i Lucynkę nieposiadające się z radości na widok tylu skarbów. Czego bo też tam nie było! Sprzęty, naczynia, ubrania, bielizna i tysiące drobiazgów potrzebnych w codziennem życiu.

Całe popołudnie zeszło na rozmieszczeniu tych przedmiotów; dzieci przyjmowały udział w robocie, śmiejąc się i dokazując. Lucynka co chwila wołała w zachwyceniu:

— Ach, jakie panie są dobre! O Boże! O Boże!

Wszystkie cztery dziewczynki nie mniej od Lucynki były rozpromienione i szczęśliwe. Widok tych dwóch istot, wyrwanych z nędzy powróconych jakby do życia, był pogładową lekcją miłosierdzia. Zosia postanowiła być zawsze litościwą dla biednych i oddawać im wszystkie pieniądze otrzymane na różne przyjemności.

Dzień zakończył się smacznym posiłkiem, który pani Marja kazała przynieść do białego domku. Wszyscy spożywali go razem przy dębowym stole, na fajansowym serwisie, darowanym Franciszce na nowe gospodarstwo. Podano kurczęta ze sałatą i torcik śliwkowy. Lucynka zajadała z wielkim apetytem, ku radości dziewczynek.

Następnie panie powróciły do siebie, a dzieci z Elizą pozostały jeszcze, by dopomóc w uporządkowaniu naczyń, a kiedy już wszystko zostało umyte i schowane do kredensu, Eliza z dziećmi wyszła, Lucynka położyła matkę do łóżka i sama układała się do snu po trudach dnia szczęśliwego.

XXII.

Zosia pragnie ćwiczyć się w miłosierdziu.

Zosia od paru dni odczuwała nieznane sobie dotąd wrażenie radości z dobrego uczynku, jakiego była świadkiem. Ani matucha, ani żadna z osób, z którymi dotąd obcowwała, nie zajmowały się dobroczynnością i nie nauczyły jej wielkiej cnoty miłosierdzia. Zosia wiedziała o tem, że dostanie duży majątek, ale w oczekiwaniu możności wspomaganie kiedyś ubogich, zapragnęła gorąco znaleźć jakąś opuszczoną i potrzebującą opieki dziewczynkę taką, jak Lucynka i ratować chorą i bezradną kobietę w rodzaju Franciszki.

Pewnego dnia żona ogrodnika, z którą lubiła rozmawiać, powiedziała:

— Ach, panienusiu, jest dużo ubogich, o których się nic nie wie. Znam jedną zącną kobiecinkę, mieszkającą za lasem. Nieraz niema co do ust włożyć i bardzo smutne jest jej życie.

— Gdzież ona jest? Jak się nazywa? pytała Zosia zaciekawiona.

— Jak się wyjdzie z lasu po drodze do wioski mieszka w chałupce i nazywa się Tutenowa — odrzekła ogrodniczka. Jest to

mała kobiecinka, wygląda jak ośmioletnie dziecko, a ma już lat osiemdziesiąt i dwa. Trzyma się zupełnie prosto, pracuje jak może, ale w tak późnym wieku nie sporo jej to idzie. Posiada krzeselko malutkie, jakby dla dziecka zrobione, sypia na piecu piekarnianym i jada wyłącznie chleb z serem, o ile ją stać na to.

— O jakżebym pragnęła zobaczyć tę ubogą staruszkę! zawołała Zosia ze zwykłą sobie żywością—Czy to stąd niedaleko?

— Trzeba iść z jakie pół godziny co najwięcej. Może panienki tam zajrzą kiedy spacerem?

Zosia nic nie odpowiedziała, ale zrobiła w duchu projekt pójścia samej, aby cała zasługa jej przypadła w udziale, postanowiła zachować swą wycieczkę w tajemnicy, zwierając się tylko Stokrotce, z którą była w ściślejszej przyjaźni. Obawiała się wspominać o swym zamiarze Kamilce i Madzi, gdyż one zapytały by zaraz matkę, czy pozwoli pójść bez żadnej opieki.

Znalazłszy się sam na sam ze Stokrotką, opowiedziała jej o staruszcze zgrzybiałej, mieszkającej za lasem, ale gdy Stokrotka chciała podzielić się tą wiadomością z mamusią i przyjaciółkami, Zosia sprzeciwiła się stanowczo i tłumaczyła, że daleko lepiej

będzie pójść samym i zanieść ubogiej swoje oszczędności.

— Nie rozumiem doprawdy co w tem jest lepszego, moja droga, dlaczego nasz dobry uczynek ukrywać mamy przed najbliższymi? zapytała Stokrotka.

— Słyszałam niedalej niż wczoraj od twej mamusi, że nie należy chełpić się z dobrych czynów, a raczej trzeba ukrywać je, żeby nie być chwaloną. A więc widzisz, iż najlepiej zrobimy idąc same, wtedy nasze miłosierdzie dla nieszczęśliwej większej nabierze wagi.

— Mnie się jednak zdaje, że powinnam powiedzieć przynajmniej mojej mamusi — szepnęła Stokrotka.

— Proszę cię, nie rób tego — zawołała Zosia porywczo; jeżeli powiesz mamusi, zaraz wszyscy zechcą pójść z nami i dadzą staruszce jałmużnę daleko większą, niż nasza. Cóż nam pozostanie do zrobienia? Będziemy patrzyły z boku na radość i błogosławieństwo ubogiej przez innych wspomaganej, tak właśnie, jak to miało miejsce w białym domku z Franciszką i Lucynką. Nie miałyśmy tam nic do czynienia, bo twoja mamusia wszystko sama obmyśliła i wykonała.

— Mnie się zdaje, Zosieńko, że my je-

steśmy jeszcze zbyt małe, by móc zapuszczać się same do lasu — zauważyła Stokrotka.

— Wcale nie, moja droga, ty masz już sześć lat, a ja osiem — odrzekła Zosia z dumą. Więc sądzisz, że nie powinniśmy na krok się ruszyć bez mamusi lub służącej? Doprawdy to śmieszne! Ileż to razy chodziłam sama, mając lat pięć.

Stokrotka wahała się jednak.

— Widzę, że jesteś tchórzem — dodała Zosia opryskliwie. Nigdy stu kroków nie zrobiłaś bez mamusi. Może obawiasz się, by cię wilki nie pożarły?

— Wcale nie jestem taki głuptasek, za jakiego mnie masz — odparła Stokrotka rozżalona — wiem dobrze, że w tym lasku wilków niema, nie obawiam się niczego i żeby ci tego dowieść, pójdę z tobą zaraz.

— Doskonale! Pobiegniemy prędko i w niespełną godzinę będziemy z powrotem.

Dziewczątka wyruszyły w drogę, nie przewidując żadnych niebezpieczeństw, na jakie mogły być narażone. Szły szybko w milczeniu. Stokrotka czuła pewne wyrzuty sumienia z powodu usłuchania Zosi. Przecież mogła oprzeć się stanowczo i nie ulec namowom. Zosia również miała sobie do wyrzucenia, że pociągnęła za sobą młodszą dziewczynkę, wszystkie skrupuły Stokrotki przechodziły jej wciąż na pamięć. „Dostaniemy

burę” powiedziała sobie w duchu. Pomimo to szła dalej i dziwiła się, że nie stanęły dotąd u celu, pomimo, że około godziny wycieczka trwała.

— Czy znasz dobrze drogę? zapytała Stokrotka nieco zaniepokojona.

— Naturalnie! Ogrodniczka mi wyjaśniła gdzie jest chatka staruszki—odrzekła Zosia głosem pewnym, pomimo że strach porządkował ją ogarniać.

— Czy prędko dojdziemy?

— Za dziesięć minut najpóźniej.

Szły dalej lasem, który zdawało się nigdy się nie skończy. Nie widać było ani domu, ani wioski, tylko drzewa i drzewa.

— Zmęczyłam się bardzo, — szepnęła Stokrotka.

— I ja również—odrzekła Zosia.

— Długo już idziemy.

Zosia nic nie odpowiadała, była bowiem mocno podnieconą i zaniepokojoną i z trudem mogła ukryć swe przerażenie.

— Gdybyśmy powróciły do domu—zaproponowała Stokrotka.

— O tak, wracajmy — zawołała Zosia. Głos jej zadrżał dziwnie.

— Co tobie, Zosiu? Wyglądasz jakbyś miała ochotę do płaczu.

— Zatraciłyśmy drogę—odrzekła Zosia, tak, tak zablądziłyśmy, nie trafimy do domu—dodała, zalewając się łzami.

— Nie trafimy do domu? powtórzyła Stokrotka przestraszona, więc cóż pocznjemy?

— Musiałam się pomylić—zawołała Zosia, szlochając. W miejscu, w którym kilka dróg się schodzi, poszłyśmy pewno w inną stronę. Nie mogę poznać gdzie jesteśmy.

— Stokrotka, widząc Zosię strapioną, starała się ją pocieszyć.

— Nie martw się—mówiła—koniec końców odzyskamy powrotną drogę. Wracajmy prędko, bo już nas pewno Kamilka i Madzia wszędzie szukają.

Zosia otarła łzy i usłuchała rady Stokrotki. Biegły pośpiesznie aż do rozstajnej drogi. Tam zatrzymały się niepewne co poczną dalej.

— Wszystkie drogi tak do siebie podobne—szepnęła Zosia—niewiedomo którą wybrać.

— Staraj się przypomnieć sobie, czyśmy szły tędy?

— Zdaje mi się, żeśmy szły tą drożyną, na której mech rośnie.

— Tu są dwie drogi mchem porośnięte, ale nie przypominam sobie, abyśmy miały mech pod nogami, idąc z domu lasem.

— Co też ty mówisz, Stokrotko! Było bardzo dużo mchu.

— To szczególne dowody. Mam wrażenie, że kurz był na drodze.

— Wcale nie—zaprzeczyła Zosia. Wiesz co pójdziemy na lewo, ręczę ci, że za pół godziny będziemy w domu.

Szły znowu w milczeniu; obie, coraz bardziej zaniepokojone, nie dzieliły się już z sobą smutnymi myślami. Po godzinie wytężonego marszu, Stokrotka zatrzymała się—mówiąc:

— Nie widzę jeszcze końca lasu. Strasznie już jestem znużona!

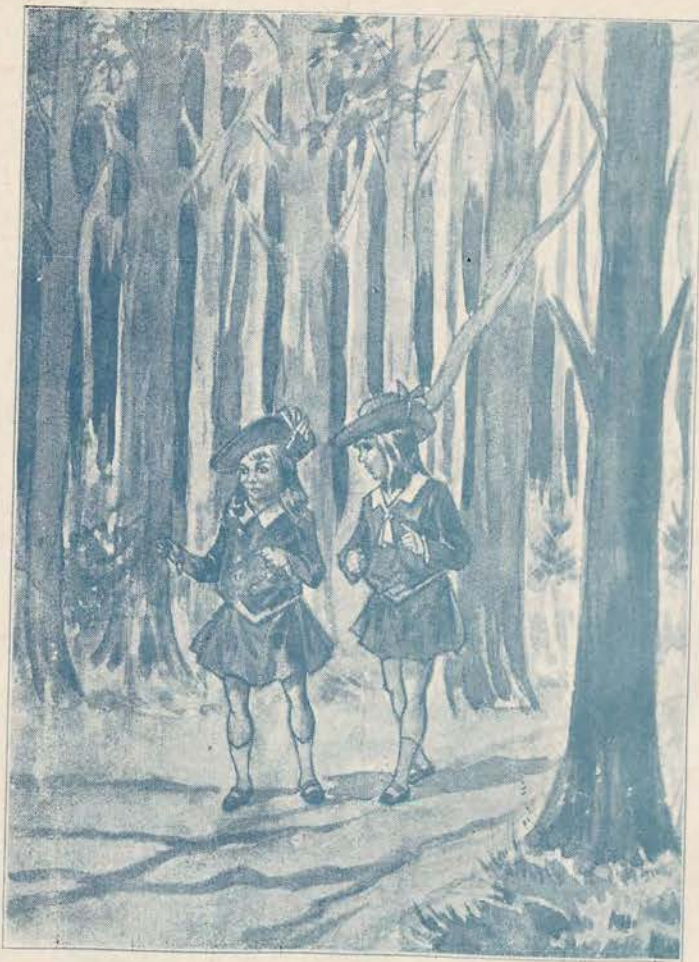
— Ach, jak mnie nogi bolą! szepnęła Zosia.

— Usiądźmy na chwilę, nie mam już siły iść dalej—rzekła Stokrotka.

Siedziały dość długo, pogrążone w smutnych rozmyśleniach. Stokrotka, oparłszy główkę na rękę, płakała cichutko, starając się ukryć łzy przed Zosią, żeby ją jeszcze bardziej nie zatrząść. Wreszcie, otarłszy oczy, prosiła, aby iść już coprędzej.

Zmrok zapadł. Strach i niepokój zwiększały się z każdą chwilą, głód i pragnienie dawały się we znaki.

— Droga moja—zawołała Zosia, zwracając się do Stokrotki—przebac mi, żem



Gdybyż przynajmniej udało się nam wynaleźć trochę wody, rzekła Stokrotka. (Str. 159).

ciebie namówiła, jesteś doprawdy zanadto dobrą, bo nie wypomniałaś mi tego.

— Biedna Zosieńko, widzę przecież jak bardzo cierpisz nad naszym położeniem, ale powiedz mi, proszę, co będzie, jeśli wypadnie nam zanoć w lesie?

— To niemożliwe. Muszą się już bardzo o nas niepokoić i wyszlą kogoś na nasze spotkanie—pocieszała Zosia.

— Gdybyż przynajmniej udało się nam wynaleść trochę wody. Już mi w gardle zasycha z pragnienia.

— Zdaje się, że tam szmerze strumyk... słyszysz?

— Chodźmy zobaczyć.

Zaczęły przedzierać się przez gąszcz leśny, raniąc sobie do krwi ręce i nogi. Dotarły wreszcie do wąskiego strumienia z którego czerpały rączkami wodę, a ugasiwszy pragnienie, umyły się i wytarły fartuszkiem twarze, usiadły nad brzegiem.

Już słońce zaszło, ściemniło się i rozpacza małych podróżniczek zwiększała się coraz bardziej. Płakały teraz obie, nie kryjąc się jedna przed drugą. Nasłuchiwały, ale żaden szelest nie mącił ciszy, nikt nie wołał, nikomu zapewne nie przyszło na myśl szukać je tak daleko.

— Trzeba nam powrócić na szeroką drogę,—mówiła Zosia—tam może ktoś prze-

jeźdźać i zabrać nas z sobą, a przytem nie będzie tak wilgotno, jak nad strumieniem.

— Znowu podrapią nas ciernie—szepnęła Stokrotka z westchnieniem.

Powlokła się jednak za Zosią, torującą jej przejście. Po wielu wysiłkach doszły wreszcie do drogi. Noc zapadła. Niesposób było iść dalej, postanowiły więc czekać cierpliwie aż do rana.

Siedziały spokojnie, oparte o drzewo, nagle usłyszały jakiś niezwykły szelest. Zdało się, że to jakieś stworzenie stąpa ostrożnie. Dziewczątka wystraszone wstrzymywały oddech, ale Stokrotka uczuła ciepły powiew tuż przy swojej szyi. Krzyknęła głośno, Zosia również. Natenczas dał się słyszeć łoskot gałęzi łamanych i jakiś duży zwierz skrył się w lesie.

Na wpół żywe ze strachu, przycisnęły się do siebie w głuchem milczeniu i trwały tak chwilę, poczem głośniejszy jeszcze niż poprzedni szelest przeraził je tak dalece, że zerwały się na równe nogi i poczęły uciekać. Najwyraźniej słychać było chrzęst łamanych gałęzi i porykiwanie dzikiego zwierza, któremu wtórowały cieńsze głosiki.

Zosia ze Stokrotką pędziły na oślep przed siebie, wreszcie natrafiły na drzewo z opuszczonemi nisko konarami. Nie długo myśląc, dziewczątka wdrapały się na gałęzie

i dostając się coraz wyżej i wyżej, zdołały zabezpieczyć się od napaści. Uniknęły w ten sposób poważnego niebezpieczeństwa. Zwierz, który szedł wprost na nich, był to dzik, za nim biegło siedmioro małych. Gdyby dziewczynki nie usunęły mu się w porę z drogi, byłby je potratował, a może dostałyby się na jego ostre kły. Obie drżały z przerażenia i ledwie mogły utrzymać się na drzewie.

XXIII.

Pomoc niespodziana.

Dzik poszedł wprost przed siebie i za-
legła znów zupełna cisza. Nagle turkot
zbliżającego się wozu wlał nadzieję w dziew-
czątkę, słychać było pogwizdywanie człowie-
ka i tupot koński.

— Na pomoc! Na pomoc! krzyknęły
dzieci.

Wózek zatrzymał się.

— Kto to woła?—odezwał się woźnica—
ciemno choć oko wykół, zkąd te głosy po-
chodzą?

— Jesteśmy na drzewie! Zaczny panie!
Wyratuj nas, bo zabłądziłyśmy w lesie.

— Jakież dziewczynki wylęknione—za-
uważył woźnica.

— To my, Zosia i Stokrotka ze dworu.
Niech nas pan zawiezie; tam się pewnie
straszenie o nas niepokoją.

— Dobrze, dobrze. Zaraz się zrobi. Nie
ruszajcie się, zdejme panięki ostrożnie. To
mówiąc, poczciwy człek wygramolił się na
drzewo, pozdejmował dziewczynki i wsadził
na wózek.

— Jakże was tak puszczone same? za-
pytał, zabierając się do odwrotu.

— Zbłąkałyśmy się, szukając biednej sta-
ruszki, mieszkającej tuż za lasem—objaśniała
Zosia.

— Jakże można wyprawiać takie histor-
je! zawołał woźnica. Jesteśmy o jakie dwa,
trzy kilometry od dworu, będziemy jechali
dobrą godzinę, bo koń zmęczony.

Zaciął konia i ruszono w drogę.

Na ganku stała Eliza blada, przerażona,
pytając przybyłego, czy nie przywozi jakich
wieści o dzieciach zagubionych.

— Są tu zdrowe i całe—zawołał weso-
ło, siedziało to w lesie na drzewie i czeka-
ło Boskiego zmiłowania.

Eliza chwyciła dzieci w ramiona.

— Prędzej, prędzej, chodźmy do salonu,
zawołała uradowana, tam się już panie
straszenie niepokoją, posyłano konnych goń-
ców w różne strony. Kamilka i Madzia są
w rozpacz. Niechże pan zaczeka chwilę—
dodała zwracając się do woźnicy—zaraz otrzy-
ma pan sowiste wynagrodzenie.

— O, niema za co,—odrzekł niezna-
jomy wzruszając ramionami; muszę zresztą
wracać pośpiesznie, bo mam jeszcze spory
kawał drogi do domu.

— Gdzie mieszkacie? Jak nazwisko?
dopytywała Eliza.

— Mieszkam w wiosce sąsiedniej, jestem dostawcą bydła do rzeźni, nazwisko moje Hurel.

— Odwiedzimy was dobry panie Hurel, dowidzenia tymczasem, jeżeli już koniecznie trzeba wracać natychmiast.

Podczas tej rozmowy Zosia i Stokrotka wpadły do salonu. Stokrotka rzuciła się matce na szyję, a Zosia przypadła do jej stóp, łkając.

Niespodziane przybycie dziewczynek i nagła stąd radość omal nie przyprawiły pani Rosburgowej w omdlenie. Zbladła bardzo i usunęła się bezwładnie na fotel, nie mogąc przemówić ani słowa.

— Mamuniu, mamusieńko! wołała Stokrotka, tuląc się do niej—niechże mamusia mnie pocałuje, niech mamusia powie, że mi przebacza!..

— Ach, dziecko moje, ileż przecierpiałam przez czas twojej nieobecności!... wyszeptwała wreszcie pani Rosburgowa. Sądziłam, że już cię nigdy nie zobaczę!... Szukałyśmy was do późnej nocy i teraz jeszcze ludzie z pochodniami krążą w różnych kierunkach. Gdzieżeście byli? Dlaczego tak późno wracacie?

— To moja wina, niech pani daruje—mówiła Zosia z płaczem obejmując kolana pani Rosburgowej; namówiłam Stokrotkę,

aby mi towarzyszyła. Chciałam odnaleźć ubogą staruszkę, mieszkającą za lasem, chodziło mi o to, żeby ten uczynek miłosierny był wyłącznie naszą zasługą. Dużo przecierpiałymy, zabłądziwszy w lesie i nigdy już, nigdy nie zrobimy ani kroku bez poradzenia się starszych.

Pani Rosburgowa podniosła Zosię łagodnym ruchem i rzekła.

— Przebaczam tobie, widząc twoją skrucę, ale odtąd urządzę się w ten sposób, aby nie znosić więcej tak strasznego niepokoju, jaki dziś przeżyłam. Stokrotka będzie przebywała zawsze z Kamilką i Madzią, albo towarzyszyć jej będzie Eliza, jeśli będą zajęte. Nigdy już nie pozostawię ją bez opieki ani na chwilę.

Kamilka i Madzia usłyszawszy gwar w salonie, zbiegły na dół z górnego piętra. Pomimo, że już od godziny miały się spać położyć, jednak nie mogły usnąć, ciągle rozmyślając o zaginionych przyjaciółkach.

Zaczęły się uściski i radosne okrzyki na widok Zosi i Stokrotki. Wypytywaniom nie było końca. Eliza przyniosła wygłodzonym wędrowniczkom dwie filiżanki buljonu z grzankami, które spożyły z wielkim apetytem, poczem pani Marja powiedziała, że wobec późnej godziny należy już pójść wszystkim na

spoczynek, resztę opowiadania pozostawiając na jutro.

Rada ta trafiła wielce do przekonania znużonych niezmiernie dziewczątek, które za ledwie przyłożywszy głowę do poduszki, zasnęły snem twardym i obudziły się naza jutrz dopiero o drugiej po południu.

Kamilka i Madzia wyglądały już z upragnieniem tej chwili, gdy przyjaciółki zaczną im opowiadać szczegółowo, co przeniosły w swej nocnej wycieczce. Stokrotka, nic nie tając, przedstawiła w prostych słowach cały obraz ich niedoli, gdy przekonały się, że nie potrafią odnaleźć drogi do domu.

Wielkie wrażenie wywołała opowieść o dzikach, ucieczka na drzewo i radość wreszcie ze spotkania zacnego człowieka, który ich usadowił na wozie i przywiózł na miejsce.

Postanowiono odszukać tego dobroczyńcę, ponieważ, na szczęście, Eliza dowiedziała się i zapamiętała, jak się nazywa.

XXIV.

Odwiedziny u Hurelów.

Dwa powozy stały przed gankiem zaprzężone, gdyż obie starsze panie i cztery dziewczynki miały jechać po południu na poszukiwanie zacnego Hurela dla podziękowania mu za bezinteresownie okazaną pomoc. Stangret dowiedział się od ogrodnika o adresie Hurela, więc jechano na pewnego, nie potrzebując rozpytywać po drodze.

Wioska ku której zmierzano przedstawiała malowniczy widok, a domostwo Hurelów położone było na samym skraju wioski.

Wieśniacy i wieśniaczki przyglądali się z wielką ciekawością pięknym powozom i paniom z dziećmi, wysiadającym przed skromną zagrodą. Hurel również był niezmiernie zdumiony temi odwiedzinami. Jego żona i córki stały oniemiałe, nie rozumiejąc co by to znaczyć miało.

Hurel nie poznał dziewczynek, które za ledwie mógł zauważyć w ciemności podczas ich nocnej przygody, zresztą już mu ta cała historia z odwożeniem dzieci wyleciała z pamięci. Usłyszawszy, że pani Rosburgo

wa ma zamiar dług jakiś spłacić, zmieszał się i tłumaczył, że o żadnym długu nie wie.

— Czy nie pamięta pan, że te oto dwie zabłąkane dziewczynki przywiózł nam pan z lasu? — zapytała pani Rosburgowa.

— Ach to te małe osóбки zdjąłem z drzewa jak gruszki, zaśmiał się dobrodusznie Hurel. Biedne maleństwa były pożałowania godne! Czy nie macie już ochoty, moje panny, wędrować same po lesie?...

— O nie! zawołała Stokrotka. Bez pańskiej pomocy zginęłybyśmy tam ze strachu i głodu... Dlatego przyjechałyśmy tu wszystkie, żeby panu podziękować pięknie.

To rzekłszy, Stokrotka wspięła się na palcach, aby uścisnąć starego, który podniósł ją i w oba różowe policzki ucałował.

— Szkoda byłoby, gdyby taka śliczna i dobra panienska zaginęła w lesie — rzekł z uśmiechem. Czy bardzo było wam straszno na tym drzewie?...

— O, bardzo bałyśmy się, bo coś stąpało, mruczało, dmuchało na nas... odrzekła Stokrotka.

— Wszystko to przerażające dla takich nieprzyzwyczajonych do leśnych dźwięków panienek — mówił Hurel ubawiony minką Stokrotki — ale dla nas, ludzi oswojonych z tem wszystkim, żadnego to niema zna-

czenia. Wikciu! podaj że paniom krzesła — zwrócił się do córki, ładnej, osiemnastoletniej dziewczyny, która pośpieszyła spełnić polecenie.

Rozmawiano dłuższą chwilę z ożywieniem, poczem pani Rosburgowa zapytała która jest teraz godzina?

Hurel spojrzął na wiszącą w kącie zegar kukułkę.

— Zapewne już blisko czwartej — odrzekł — ale nasza kukułka jakoś się popsuka i nie dobrze chodzi.

Pani Rosburgowa wyciągnęła z woreczka pudełko i rzekła, podając je Hurelowi:

— Widzę, że nie posiadacie porządnego zegarka, może ten się wam przyda i będzie stanowił zarazem pamiątkę od dziewczątek z lasu.

— Dziękuję pani, doprawdy przecenia pani zrobioną usługę — odparł Hurel wzruszony.

Otworzywszy pudełko, stanął jak wryty ujrzawszy złoty zegarek z łańcuszkiem.

— Ależ to za piękny dar dla mnie — wykrzyknął zachwycony; nie odważę się nigdy nosić podobnie wspaniałego zegarka!

— Noś go pan przez życzliwość dla nas, bo jest to bardzo skromny podarek, w porównaniu z uczynioną nam przysługą, wróciłeś mi pan mój skarb, dziecko ukochane, czemże est ten zegarek złoty wobec odzyskania mojej Stokrotki!

To rzekłszy, pani Rosburgowa zwróciła się następnie do żony i córki Hurela, ofiarowując im również drogocenne pamiątki. Jedna dostała broszkę złotą, pięknie emaljowaną, druga kolczyki. Podziękowaniom nie było końca, poczem panie z dziećmi wsiały znów do powozów, otoczone licznymi widzami. Zazdroszczono Hurelom zaszczytu, jaki ich spotkał, a ci błogosławili panią Rosburgową i zachwycali się otrzymanymi darami.

ROZDZIAŁ XXV.

Tragiczny wypadek.

Minęło kilka tygodni od czasu tej wizyty u Hurelów. Zaczny staruszek przychodził nieraz do dworu i zwykle był mile witany.

Pewnego dnia czekano po południu. Eliza zaproponowała dzieciom wycieczkę do lasu po orzechy, żeby zbierać je dla Wikci Hurel i posłać cały koszyk. Dziewczynki przyjęły ten projekt z radością i każda z koszyczkiem w ręku zbierała skrzętnie, starając się mieć jak najwięcej.

— Patrzcie, moje drogie, czyż mój koszyczek nie jest najbardziej wypełniony? wołała Stokrotka z dumą potrząsając swym koszyczkiem.

Kamilka i Madzia uznały, że tak jest w istocie, ale Zosia dowodziła, że ma więcej orzechów od Stokrotki.

— Stokrotce zawsze się zdaje że wszystko robi najlepiej,—rzekła—wzruszając ramionami.

— Mówię tylko prawdę—odpowiedziała Stokrotka—a ty się gniewasz, bo jesteś zazdrosną.

— Zazdrosną? Wiecie co? To paradne! Mam być zazdrosną o tę garstkę orzechów!

— Tak, tak, zazdrościsz mi, że uzbierałam więcej od ciebie—mówiła Stokrotka zapierzona.

— Twój wspaniały zbiór nic a nic mnie nie obchodzi. Masz oto dowód.

I to rzekłszy, Zosia trąciła z całych sił koszyczek Stokrotki. Wszystkie orzechy rozsypały się po ziemi.

Elizie nie udało się uratować zdobyczy biednej Stokrotki, która rozpaczliwie krzyknęła:

— Moje orzeszki!.. Moje orzeszki!.. Kamilka i Madzia orzuciły Zosię spojrzeniem pełnem wymówek i poczęły gorliwie zbierać plon rozsypany.

— Stokrotko, weź moje orzechy! zawołała wreszcie Kamilka, chcąc pocieszyć strapioną.

— I moje również — dodała Madzia—będziesz miała zbiór wspaniały.

Stokrotka otarła zażawione oczy i ucałowała gorąco swe dobre przyjaciółki. Zosia stała zawstydzona i szukała sposobu naprawienia swej winy.

— Weź także moje—rzekła, podając swój koszyczek Stokrotce i nieśmiając podnieść na nią oczu.

— Dziękuję bardzo, mam dość i bez twoich—odburknęła Stokrotka.

— To niegrzecznie odmawiać—skarciła ją Madzia. Zosia oddając tobie orzechy, uznaje się tem samem winną; nie należy już dąsać się na nią.

Stokrotka spojrzała na Zosię trochę krzywo, nie wiedząc dobrze co jej uczynić wypada. Zosia wyglądała bardzo żałośnie, to ją wzruszyła nieco, ale nie mogła jeszcze przemóc gniewu.

— Uściśnijcie się, moje drogie, — zachęcała Kamilka—i pogóźdzcie się co prędzej. Widzisz Zosiu, że Stokrotka nie jest już zagniewana, a ty moja rzekła spójrz na Zosię i zrozum, że jest zmartwiona mocno i żałuje swego uniesienia.

— Widzę, że już nigdy nie poprawię się z moich wad i nie potrafię być podobną do was — odezwała się Zosia. Unoszę się byle o co, obraziłam Stokrotkę i bardzo mi jest przykro, że to zrobiłam.

— Nie myśl już o tem—będziemy znów dobrymi przyjaciółkami—odparła Stokrotka—całując Zosię, a Kamilka dodała:

— Nie trać nadziei, Zosieńko, nie można poprawić się tak prędko, jak sądziłaś. Stałaś się już o wiele lepszą niż przedtem byłaś; z każdym miesiącem korzystna w tobie następuje zmiana.

— Dziękuję ci za dodanie mi otuchy, moja miła, ale porównując się z tobą i Madzią widzę jak bardzo dużo mi braknie aby wam dorównać.

Zanadto jesteś skromną, moja Zosiu, i przeceniasz nas, nieprawdaż, Stokrotka?

— O nie, Zosia ma zupełną słuszość, ani ona ani ja nie jesteśmy was warte, odpowiedziała Stokrotka. Choć by naprzykład ta nasza niefortunna wyprawa do lasu! Czyż która z was postąpiłaby tak nieogłędnie? A moja historia z wiśniami... A Zosi z orzechami?. O tak, wy jesteście obie sto razy od nas lepsze!

— Jesteśmy przecież starsze, a więc i rozsądniejsze być musimy—rzekła Kamilka, całując Stokrotkę.

— Słyszę turkot powozu, to pewno mamusie nasze wracają ze spaceru, zawołała Madzia—chodźmy zapytać je, czy nie spotkały przypadkiem Hurela.

Dziewczynki pobiegły na ganek. Stokrotka poczęła dopytywać matkę, czy nie widziała Hurela, który ma zabrać dla Wikci, uzbierano przez nie orzechy.

Okazało się jednak, że pocziwy człek nie pojawił się, nie spotkano go na drodze, choć zwykle mniej więcej w tych godzinach przybywał do dworu.

Zosia poczęła tupać nóżkami i gniewać się, że tak każe na siebie czekać.

— Przyrzekł przynieść raki o dwunastej, wruszając ramionami — czy podobna, aby prostak jakiś ośmielał się zmuszać nas do czekania. Należało by go ukarać i nie dać orzechów dla córki.

— Ów prostak, jak powiadasz, wyratował nas z niebezpieczeństwa, gdyśmy były w lesie—rzekła Stokrotka z żywością—jesteś bardzo niewdzięczną, moja Zosiu.

— Już znowu unosisz się, Stokrotko, czy nie możesz mówić spokojnie, nie drażniąc Zosi? rzekła Madzia, starając się nie dopuścić do sprzeczki.

— Bo i po cóż Zosia obraża pocziwego Hurela? odparła Stokrotka.

— Nic mnie on nie obchodzi, obrażać go nie myślę, ale wolę już z dwojga złego pójść przygotować lekcje, niż oczekiwać tutaj na jego przybycie.

To rzekłszy Zosia miała się już oddalić, nie słuchając już wykrzykników oburzenia Stokrotki, która zapewniała, że na miejscu Hurela nie dała by wcale raków przyrzeczonych.

W tej chwili zdyszany koń Hurela zatrzymał się przed gankiem. Dziewczynki zastanawiały się dlaczego bez jeźdźca przybywa i dlaczego jest cały zmoczony.

Przywołały Elizę dla rozjaśnienia tej zagadki. Służąca nie umiała też sobie wytłómaczyć co mogło się stać z Hurelem? Poszły wszystkie razem gościńcem, niespokojne wielce czy nie przytrafił się jaki przypadek.

Nad rzeką stała gromadka ludzi rozprawiających z ożywieniem. Eliza przeczuwając jakieś nieszczęście, zatrzymała dzieci na gościńcu, a sama pobiegła dowiedzieć się co zaszło. Z przerażeniem usłyszała z ust robotnika, że wyciągnięto właśnie z wody ciało biednego Hurela i że wszystkie środki przywrócenia go do życia na nic się nie zdały.

Dzieci zatrwożone oczekiwały przybycia Elizy, a dowiedziawszy się o strasznym wypadku, płakały rzewnie.

— O mój Boże! zawołała Zosia przegnębiona, więc w tym momencie, gdym urągała temu biedakowi jego już nie było na świecie!...

— Trzeba zawiadomić nasze panie — zauważyła Eliza — może znajdą sposób osłodzenia ciężkiego ciosu rodzinie zmarłego. My nic poradzić nie możemy ani Topielcowi nieszczęsnemu, ani żonie, Wikci, Teofilkowi.

— Możemy tylko modlić się i prosić Boga, by go przyjął do swojej chwały a żonie i dzieciom dał siły do zniesienia tak

wielkiego bólu — odezwała się Kamilka z powagą.

— O tak, tak — mówiła Stokrotka płacząc — Kamusia zawsze ma zacne pomysły i mamusie nasze będą też modliły się o to.

Dziewczynki wpadły do salonu i opowiedziały pośpiesznie o wypadku, który również przeraził dobrą panią Marję i jej towarzyszkę. Obie postanowiły pójść zaraz nad rzekę i przekonać się, czy istotnie niemożna uratować Hurela.

Dzieci pozostały w domu, oczekując z niecierpliwością powrotu swych matek. Okazało się jednak, że nie ma żadnej nadziei. Siostra i szwagier Hurela zabrali trupa na wóz, aby odwieźć go do wioski; przedtem uprzedzono ostrożnie żonę o spadłym na nią nieszczęściu.

Cały dzień mówiono wciąż o Hurelach, panie przemyślały czem im przyjść z pomocą.

Nazajutrz wybrały się w odwiedziny do biednej wdowy, której rozpacz nie miała granic, Wikcia też płakała po całych dniach i nocach, a Teofil, pozostający na służbie w oddalonym dość mieście nie mógł jeszcze nadjechać. Wezwano go listownie aby przybył na pogrzeb.

Zosia dowiedziawszy się, że Hurelowie są w ciężkim materialnym położeniu, zapro-

ponowała, żeby każda z dziewczynek płaciła im po złotemu tygodniowo ze swych oszczędności, co stanowiło by sześćnaście złotych miesięcznie.

— Będą przynajmniej mieli na chleb — rzekła ze współczuciem.

— Widzisz, Zosieńko, że przyszedł ci bardzo dobry pomysł, na jaki byś nie zdobyła się z pewnością przed rokiem — szepnęła jej Kamilka na uszko.

Mamusi pochwaliły zamiar dziewczynek, dodając jeszcze szczodry dar od siebie. Co tydzień Hurelowa otrzymywała różne podarunki ze dworu. Dzieci pamiętały zawsze o dołączeniu od siebie owoców, ciastek i różnych przysmaków, których wyrzekały się chętnie w celu zrobienia przyjemności osieroconej rodzinie. Dzięki staraniom pani Marji nie zbywało na nieczem Hurelowej i jej córce, które otrzymywały suknie prowianty i pomoc pieniężną. Pani Rosburgowa ze swej strony udzielała również dużo różnych pożytecznych rzeczy, a gdy w rok później Wikcia miała zaślubić bardzo porządnego młodzieńca, panie zajęły się jej wyprawą i weselem, a Hurelowa zamieszkała od-tąd przy dzieciach, błogosławiąc aż po śmierci swe zacne opiekunki.

XXVI.

O S P A.

Pewnego dnia Kamilka uskarżała się na ból głowy. Jej twarzyczka pobladła, zaniepokoiła panią Marję, która kazała jej położyć się do łóżka, a widząc że mała ma gorączkę, posłała wnet po doktora. Okazało się, że Kamilka ma ospę i natychmiast odłączono ją od reszty dziewczynek, w obawie aby się nie zaraziły. Tylko matka i poczciwa Eliza czuwały nad chorą. Madzia Zosia i Stokrotka przesyłały jej różna wycinanki, rysowały widoczki, plotły koszyczki dla niej, chcąc okazać swe przywiązanie i współczucie. Choroba Kamusi rozwijała się prawidłowo i przebieg jej był nie zbyt ciężki, krosty przygasły, po przejściu gorączki lekarz pozwolił wstać z łóżka, ale nie mogła jeszcze niczem się zająć, ani też czytać, gdyż oczy miała zapuchnięte. Od ośmiu dni siadywała już ubrana, ale nie wolno jej było wychodzić ze swego pokoju. Razu pewnego spojrzawszy na Elizę przeraziła się, widząc ją ogromnie zmienioną.

— Co ci jest? zawołała Kamilka wyglądasz jakbyś miała gorączkę.

— Nie spałam w nocy i głowa mię strasznie boli — odrzekła Eliza — ale to nic wielkiego, przejdzie!

Mówiąc to zachwiała się, widać było cierpienie wyryte na jej twarzy. Kamilka zwróciła uwagę matki na służącą, która widocznie jest chora i stara się ukrywać to przed swą panią. Pani Marja posłała po lekarza. Istotnie Eliza dostała ciężkiej ospy i musiała przebyć staranną kurację na zupełnem odosobnieniu. Kamilka przejęta była myślą, że to czuwając przy niej zaraziła się poczciwa Eliza i że powinna teraz odwdzińczyć jej za okazaną troskliwość i narażania własnego życia.

Po kilku dniach gorączka spadła i doktor był bardzo ze stanu pacjentki swej zadowolony.

Kamilka przez ten czas zupełnie wyzdrowiała i już mogła wychodzić do ogrodu. Matka pozwoliła jej nawet rozmawiać z Madzią i małemi przyjaciółkami, byle się do nich nie zbliżać.

Dzieci miały sobie dużo do opowiadania, wszystkie były też przejęte chorobą Elizy i ogromnie ucieszyły się, gdy mogły zobaczyć ją przez szybę okienną.

Kamilka wychwalała jej dobroć i pieczo-

łowitość, której doznała przebywając ospę. Eliza wzruszona oznakami radości dzieci patrzących na nią z ogrodu, dawała im znaki podziękowania, wreszcie przyłożywszy chustkę do oczu poczęła płakać na myśl, że musi jeszcze być czas jakiś w oddaleniu od kochanych dziewczątek, te również rozplakały się na dobre. Na tę chwilę nadeszły mamusie i pytały zdziwione co by znaczyć miało.

— Eliza ukazała się nam w oknie — odrzekła Madzia.

Panie podniosły oczy w górę i dojrzały szlochającą Elizę. Wnet zrozumiały dlaczego dzieci są tak przejęte żalem...

— Przestańcie już rozczulać się, moje drogie, dajcie możność Elizie położyć się i wypoczywać, gdyż jest jeszcze bardzo osłabiona. Chodźcie teraz z nami obmyślimy obchód na cześć jej powrotu do zdrowia i długoletnich zasług.

W ten sposób pani Rosburgowa zwróciła myśl dziewczątek na weselsze tory.

— Obchód! Obchód! wołały wszystkie cztery, co za świetny pomysł! Urządzimy święto Elizy.

Pośpieszyły z radością na wezwanie i układały przeróżne plany mające na celu zabawę i pożytek.

XXVII.

Teatr amatorski i zabawa we dworze.

Od kilku dni ruch wielki panował we dworze, wbijano gwoździe w oranżerji przylegającej do salonu, rozsuwano kwiaty, pieczono ciasta.

Dzieci nie dopuszczały Elizy do oranżerji i starały się przytrzymać ją jak najdłużej u siebie, okazując wielkie zadowolenie z powodu, że już wolno jej przebywać z niemi.

Dobra dziewczyna domyślała się potroszę, że chodzi o zrobienie jej jakiejś niespodzianki i udawała, że o niczem nie wie.

Wreszcie nadszedł dzień oznaczony. O godzinie trzeciej ogromne było zamieszanie w całym domu. Eliza ubierała się w swoim pokoiku, gdy wpadły dzieci, niosąc olbrzymi kosz przykryty. Muślinowe ich sukienki, które nakładały tylko w święta, świadczyły, że jest jakiś uroczysty nastrój w domu.

— Przyszłyśmy cię ustroić, moja Elizo, przemówiła Kamilka, przynosimy wszystko, co potrzebne jest do twej toalety.

— Dziękuję paniąkom, ale mam już sukienkę uszykowaną, zaraz ją włożę.

— Spójrz najprzód na to, co przynosimy, rzekła Mądzia, odstawiając koszyk.

Olśnionym oczom Elizy ukazała się sukienka brązowa przybrana białym kolorem, czepeczek jaki zazwyczaj noszą służące i ładne okrycie.

— To za piękne dla mnie! — zawołała Eliza zdumiona i zmieszana tak bogatymi prezentami.

Dziewczątka pomimo jej oporu odwiązały fartuszek Elizy i starały się zdjąć z niej suknię. Musiała poddać się ich woli i włożyć na siebie przyniesione przez nich stroje, poczem zaprowadziły ją dzieci do sypialni matki, żeby mogła przyjrzeć się sobie w dużym lustrze. Eliza, wzruszona do głębi, dziękowała dziewczynkom, a potem obu paniom za otrzymane dary.

— Teraz pójdę do siebie i zdejmę tę śliczną sukienkę, nie mogę przecież nosić jej na codzień, tłumaczyła małej czwórce, która ją otaczała i cieszyła się radością bijącą z oczu dziewczyny.

— O nie, musisz pozostać w tym stroju aż do wieczora, wołały dzieci.

— Dlaczego? — zapytała Eliza zaciekawiona:

— Zobaczysz sama. Chodź z nami i o nic nie pytaj, odrzekła Madzia.

Dzieci zaprowadziły Elizę do salonu, a następnie do oranżerji, zamienionej obecnie na rodzaj teatru. Dużo było tam osób zebranych dla oglądania widowiska, które urządzone było umiejętnie dla zainteresowania wiejskich widzów. Odegrano udatny obraz z pogromu białych przez murzynów na wyspie San Domingo. Były to dzieje zacnej i przywiązanej służącej murzynki, która ratuje dzieci zamordowanych swych państwa, ocala je od wielu niebezpieczeństw i wreszcie odpływa z niemi do ich ojczyzny, wręczając kapitanowi okrętu szkatułkę pełną klejnotów, należących do matki sierotek, a stanowiących ogromny majątek.

Amatorzy odegrali świetnie swe role, zwłaszcza główna bohaterka, murzynka, wywołała ogólny zachwyty i pozyskała gorące oklaski.

Następnie całe zgromadzone towarzystwo zaproszone zostało do jadalni, gdzie zastawione były stoły bardzo obficie, a dla wieśniaków i służby folwarcznej podano podwieczorek w ogrodzie. Grały przytem orkiestry i rozpoczęły się tańce w uprzątniętej już oranżerji, jak również przed domem. Dzieci bawiły się z wielkim zapałem, Eliza tańczyła dużo i cieszyła się ogromnem powodzeniem, wszyscy bowiem wiedzieli, że

zabawa została urządzoną głównie w celu wynagrodzenia tej skromnej i zacnej dziewczynie jej przywiązania i poświęcenia dla dzieci swej pani.

Całe to święto ludowe wywarło jaknajlepsze wrażenie na wszystkich uczestnikach, podziękowano serdecznie pani Marji za tak mile spędzony wieczór.

Dziewczątka długo jeszcze rozmawiały pomiędzy sobą, przypominając różne epizody tej zabawy. Zosia nie omieszkała wyśmiać różne osoby źle ubrane lub wyglądające nieco dziwacznie, Kamilka natomiast brała ich w obronę, ztąd wywiązała się sprzeczka na poczekaniu.

— Nudna jesteś z tą wieczną pobłażliwością i dobrocią — mówiła Zosia — czy widziane rzeczy, żeby nigdy nie pożartować z kogoś i nie widzieć głupoty ludzkiej!..

— Wielkie to szczęście dla ciebie — zauważyła Stokrotka — bo w przeciwnym razie byłabyś często narażoną na drwinki i wszystkie trzy śmiałybyśmy się z niemądrej Zosi.

— Mało mnie obchodzi, co ty pleciesz — odparła Zosia zagniewana.

Przyszłoby już do kłótni pomiędzy młodszymi dziewczątkami, gdyby nie przerwała im Eliza swem niespodziewanem wejściem.

— A to co znowu? Co ja słyszę? — za-

wołała podchodząc bliżej. Więc tak źle kończycie dzień tak dobrze spędzony?

Małe kłótnice spuściły główki i zarumieniły się na te słowa, poczem przeprosiły się wzajemnie i uściskały na dobranoc.

Eliza dziękowała raz jeszcze wszystkim dziewczynkom za okazaną jej życzliwość, wiedziała bowiem, że dobra pani Marja chciała urządzać tę fetę dla zrobienia zarazem przyjemności dzieciom, którym chodziło o wyróżnienie Elizy jako wzorowej sługi, całą duszą do nich przywiązanej i nawzajem przez nie kochanej.

XXVIII.

Wycieczka na osłach.

— Mamusiu, dlaczego my nigdy nie jeździmy na osiołkach? To takie zabawne! — pytała pewnego dnia Stokrotka swoją matkę.

— Nigdy jakoś o tem nie pomyślałam — odparła matka.

— Ani ja również — dodała pani Marja — ale łatwo temu zaradzić. Mamy dwa osły na folwarku, dwa we młynie i dwa w papierni, całych sześć do wyboru.

— A dokąd pojedziemy na osiołkach? — dopytywała Kamilka.

— Mogłybyśmy dojechać do młyna — wtrąciła Zosia.

— O, tylko nie do młyna — zaprotestowała Stokrotka — Irasia jest zła dziewczyna. Od czasu, jak skradła moją lalkę, nie mogę patrzeć na nią. Spogląda na mnie takimi złemi oczami, że aż strach bierze.

— Mogłybyśmy odwiedzić Lucię i jej matkę — rzekła Madzia.

— To za blisko. Chodzimy tam przecież niemal codziennie — odparła Zosia.

— Mam dobry pomysł — powiedziała pani Marja — można będzie zrobić jutro wycieczkę do lasu; pojedziecie wszystkie cztery na osiołkach, a my powozem. Zapasy rozłożymy na zielonej trawce. Będzie to uczta prawdziwa.

Ach, jak to będzie wesoło! zawołały dzieciaki uradowane. Gdybyż już prędzej nastąpiło jutro!

Najwięcej niecierpliwiła się Zosia, której dłużyły się godziny, chciałyby żeby dzień skończył się wcześniej niż zwykle, bo nie umiała jeszcze opanować się w zupełności i pragnęła, aby działo się wszystko według jej zachcianki.

Nazajutrz, gdy ujrzała przez okno osiołki osiodłane i oczekujące już przed gankiem zbiegła szybko z góry i poczęła się im przyglądać zbliska.

Ten jest stanowczo za mały, a tamten wygląda okropnie z tą sierścią rozkudłaną — wołała Zosia — duży szary musi być strasznie leniwy, a ten obok niego napewno zły jest bardzo. Dwa rude są chude, jak szczapy. Najwięcej mi się podoba jasno popielaty i tego sobie wybieram. Zaraz przywiążę do niego swój kapelusz, na znak, że to będzie mój wierzchowiec.

Gdy nadeszły panie, radziły, aby dwie młodsze dziewczynki dosiadły małe osiołki,

ale Zosia wskazała na wybranego przez siebie, mówiąc, że na tym pojedzie.

Pani Marja skarciła ją za samowolę, ale dodała z uśmiechem, że pozwala jej dosiąść tego, który z wyglądu trafił jej do przekonania.

— Zobaczymy, czy nie pożałujesz twego wyboru, ale niech się stanie według twjej woli — powiedziała w końcu,

Zosia zawstydzona mocno, czuła, że źle uczyniła wyrwijąc się przed innymi, ale musiała już wytrwać w swym wyborze. Ogrodnik z synem prowadzili osiołka obładowanego różnemi zakąskami i przyborami do jedzenia. Osiołek, na którym jechała Zosia, nie chciał w żaden sposób odstąpić od swego towarzysza prowadzonego przez ogrodnika. Trzy pierwsze biegły rażno, Zosia nie mogła ich dogonić i słyszała tylko zdala wesołe głosiki przyjaciółek, które wkrótce zupełnie znikły jej z oczu.

Syn ogrodnika starał się pocieszać Zosię, ale jego słowa drażniły ją jeszcze bardziej i miała już łzy gniewu w oczach.

— Nie oplaci się płakać, panienko, — mówił chłopak i dorosłym się zdarza omylić. Panience się zdawało, że ten będzie najlepszy z naszych osiołków, bo nie gorzej wygląda na oko, ale to największy leń i uparciuch niesposób z nim poradzić. W powrot-

nej drodze może panienska zamieni się z panną Kamilią, ona jest taka dobra ta nasza panienska, że napewno się zgodzi, bo zawsze jest gotowa każdemu ustąpić.

Zosia nic nie odpowiadała, ale miała wypieki na twarzy ze wzruszenia i hamowanego gniewu. Jechała stępą całą drogę, a gdy przybyła wreszcie na oznaczoną polankę, ujrzała już przywiązane do drzew osiołki, a trzy dziewczynki pobiegły z matkami w głąb lasu zbierać kwiaty i jagody.

Zosia usiadła tymczasem pod drzewem i rozmyślała nad sobą. Zdawała sobie sprawę jak dużo jeszcze brakło jej do upodobnienia swego postępowania z wzorowo wychowanymi dziewczątkami, jakimi były Kamilka i Madzia. Nie umiała przemóc swego samolubstwa, chociaż rozumiała że to jest bardzo brzydka wada; postanowiła poprawić się z niej i oduczyć opryskliwości, której ofiarą padała najczęściej Stokrotka wyrażająca śmiało swe zdanie o Zosieńce.

Wszystkie trzy dziewczynki z bukietami i koszyczkami jagód w ręku podbiegły do siedzącej Zosi, chcąc ją pocieszyć w strapieniu.

— Twój osiołek okazał się bardzo opieszale — mówiła Kamilka, całując małą — musisz teraz wsiąść na innego.

— O nie, moja droga, zostałam słusznie ukaraną za swe samolubstwo i chęć posiadania najlepszego wierzchowca, muszę odpokutować za to i dlatego postanowiłam wracać również na tym leniu.

Powiedziawszy to Zosia wpadła znów w doskonały humor, pomagała rozwijać paczki z prowiantami i rozkładać zapasy na trawie.

Wszyscy mieli świetny apetyt po przejażdżce i zabrano się z zapalem do spożycia śniadania na świeżem powietrzu, pod cieniem drzew rozłożystych. Siedzenie na ziemi sprawiało dzieciom wielką uciechę. Świetny pasztet z zająca smakował jak przysmak niesłychany, cielęcina na zimno, kartofle pieczone, szynka, raki, wreszcie tort śliwkowy, ser i owoce stanowiły wyborne śniadanie, które nawet dla mniej zgłodniałych byłoby nie do pogardzenia.

Po tej uczcie nastąpił znów spacer po lesie; tym razem nie brakło już Zosi w gronie bawiących się wesoło dziewczynek, a gdy całe towarzystwo oddaliło się nieco, ogrodnik z synem zajadali też z wielkim apetytem udzielone im jedzenie, poczem zapakowali znów przywiezione naczynia do koszyków.

— Ojcie — rzekł syn ogrodnika — po co nasza panienska ma jechać na tym leniwym osliksu, czyż nie lepiej włożyć nań kosze,

a osiodłać tego czarnego, któregośmy prowadzili w tę stronę?

— Rób, jak chcesz, mój chłopcze — odparł ojciec.

Po powrocie całej gromadki z lasu, dzieci ujrzały osły posiadlane i gotowe już do drogi. Zosia szukała wzrokiem swego jasno szarego leniucha i zdziwiła się, że stał obładowany kosztami. Ogrodnik objaśnił, że to jest pomysł jego syna, który nie chciał pozwolić, aby panna Kamilcia wracała na tym opornym oślisku.

— Ależ to ja, a nie Kamilka, miałam jechać na nim — zawołała Zosia.

— Przepraszam panienkę, ale wiem co mówię — odparł ogrodnik — właśnie panna Kamilcia powiedziała memu chłopcu, żeby pamiętał w powrotnej drodze podać jej tego osiołka, na którym panienusia jechała z nami. Ale niech panienka się nie boi, ten czarny nie jest zły wcale, daleko lepiej będzie się panienka czuła na nim.

Zosia nic nie odpowiedziała, ale w głębi duszy porównywała się z Kamilką i uznała swą niższość, bo czyżby jej przyszło na myśl tak postąpić, jak przyjaciółka czyniła, chcąc oszczędzić Zosi przykrości. Prosiła teraz Boga, żeby ją uczynił podobną do Kamilki i Madzi i przyrzekała sobie poprawę.

Kamilka koniecznie chciała ustąpić Zosi

swego osiołka, ale Zosia stanowczo wybrała czarnego i pojechały wszystkie razem pełne radości, galopując obok siebie. Powrót był weselszy jeszcze od rannej wycieczki, gdyż Zosia nie pozostawała w tyle.

Dzieci opowiadały przy obiedzie o wrażeniach tak mile spędzonego dnia i dziękowały po tysiąc razy mamusiom za doznaną przyjemność.

Po obiedzie pani Marja otworzyła list przysłany z poczty i przeczytawszy go, zawołała wesoło:

— Oznajmiam wam moje dzieci, dobrą nowinę, ciocia i wujaszek przyrzekają przybyć do nas na kilka tygodni z Leosiem, Jankiem i Jakóbkiem. Przyjadą pojutrze Pawełek też będzie tutaj.

— Co za szczęście! Co za radość! wołały dziewczątka. Jakież miłe wakacje mieć będziemy!

Wakacje istotnie były niezwykle ożywione, dzieci bawiły się jak nigdy, przybycie bliskich krewnych rozweseliło ogromnie codzienny bieg życia, a tyle wydarzyło się ciekawych wypadków i zdarzeń, że trudno byłoby zmieścić je w tym tomie i chyba opowiemy je wam w osobnej książce.

Różne przygody Zosi i jej kuzynka Pawełka.

Wiewiórka.

Pewnego dnia Zosia spacerowała ze swym kuzynkiem Pawełkiem po lasku nieopodal domu położonym. Oboje szukali żołądź, żeby z nich zrobić różne ozdoby. Nagle Zosia uczuła, iż na plecy jej spadł żołądź. W chwili gdy się schyliła by go podnieść, drugi uderzył ją w ucho.

— Pawełku, Pawełku — zawołała dziewczynka — spójrz proszę cię na te żołądźcie spadłe z drzewa, zupełnie są pogryzione. Przecież myszy nie mogłyby wydrapać się tak wysoko, ptaki też nie jadają chyba żołądź, więc dlaczego wyglądają one jakgdyby je kto pogryzł zębami?

Pawełek wziął do rąk żołądź, podniósł oczy w górę i odrzekł:

— Tam jest wiewiórka na gałęzi. Spogląda na nas jakgdyby drwiła.

Zosia spojrzała na dąb rozłożysty i dostrzegła wiewiórkę ze wspaniałym ogonem, podniesionym jak pióropusz. Wycierała sobie mordeczkę swemi małemi łapkami, spoglądając od czasu do czasu na Zosię i Pawełka i przeskakując z gałęzi na gałąź.

Jakbym ja chciała mieć tę wiewiórecz-

kę, zawołała Zosia. Jaka ona śliczna i jakbym ja się nią bawiła, prowadziła na spacer.

— To nie byłoby trudno ją złowić, ale wiewiórka nie dobrze pachnie w pokoju a przytem wszystko gryzie.

— O, nie dałabym jej psuć rzeczy, gdyż trzymałabym je pod kluczem, a klatkę czyściłabym dwa razy dziennie. Jakże byś ją złowił, powiedz mi Pawełku.

— Wziąłbym dużą klatkę, włożyłbym w nią orzechy, migdały, wszystko co wiewiórki bardzo lubią, postawiłbym tę klatkę pod drzewem, pozostawiając drzwiczki otwarte. Schowałbym się w pobliżu, przywiązawszy tasiemkę do drzwiczek, a kiedy wiewiórka wejdzie do klatki, pociągnąłbym tasiemkę i drzwiczki zamknięte nie pozwoliłyby wiewiórcie wymknąć się do lasu.

— Ale czy wiewiórka zechce wejść do klatki? Może będzie się bała?

— Napewno wejdzie, gdyż wiewiórki są bardzo łakome.

— O, to złap mi ją, proszę cię, mój Pawełku, wołała Zosia, zrobisz mi tem ogromną przyjemność.

Oboje pobiegli szukać klatki odpowiedniej. Znalazła się taka w szpichlerzu. Z pomocą służącej wyczyszczono ją, włożono o-

rzechy włoskie, laskowe i migdały w łupinach.

— Teraz śpieszmy pod dąb i ustawmy klatkę — mówiła Zosia — byleby tylko wiewiórka nie umknęła zanim dojdziemy.

— Poczekaj, muszę jeszcze uwiązać tasiemkę do drzwiczek i przeciągnąć ją przez szczelbelki, żeby się drzwiczki zamknęły, gdy pociągnę za nią.

— Obawiam się, czy wiewiórkę zastaniemy na drzewie — zawołała Zosia.

— Napewno pozostanie tam do wieczora, potem już nikt jej nie odszuka. Pociągnij za tasiemkę, żeby przekonać się czy dobrze działa.

Próba udała się doskonale. Dzieci zachwycone pobiegły z klatką do dębu, na którym pozostawiły wiewiórkę, ale już jej tam nie było. Poszły więc szukać pod innymi drzewami, aż nagle spadł Zosi na czoło żołędź ogryziony.

— Jest! Jest! — mówiła Zosia uradowana. Patrz, Pawełku, widzę koniec jej ogona tam, za gałęzią.

Istotnie wiewiórka siedziała przykucnięta, nasłuchując.

— Doskonale! Za chwilę będziemy ją mieli, zawołał Pawełek. Poczem podniósłszy głowę ją przemawiać: Przynieśliśmy ci, wie-

wióreczko, różne przysmaki, bądź łakomą, zobaczysz jak łakomstwo bywa ukarane.

Zwierzątko nie oczekiwało wcale smutnego zakończenia swych spacerów po dębie i spozierało w sposób drwiący na dzieci, poruszając główką w lewo i w prawo. Widziało ustawioną przez Pawełka klatkę i dostrzegło orzechy i migdały w niej rozsypane. Gdy dzieci ukryły się za pnem drzewa, wiewiórka zbiegła na dół i przeciągnęła łapkę przez szczelbelki. Ponieważ połów tą drogą się nie udał, poczęła szukać drogi dla dostania się do wnętrza klatki. Dostrzegłszy drzwiczki otwarte, zawahała się chwilę, spróbowała dostać orzechy łapką, ale się jej to nie udało, więc posunęła się w głąb, co ujrawszy dzieci pociągnęły koniec tasiemki i wnet wiewiórka została uwięziona. Strach ją zdjął, opuściła z pyszczką orzech i poczęła krążyć dokoła, szukając wyjścia. Niestety, nie było sposobu wydostać się z klatki. Dzieci rzuciły się ku niej uszczęśliwione i w tryumfie zanosły uwięzioną do pokoju Zosi, która przywołała wnet służącą, by się pochwalić przed nią swą zdobyczą.

Służąca wcale nie była zadowoloną z tego nabytku.

— Cóż pocniemy z tą wiewiórką? — zapytała. Będzie nas kasała i sprawi hałas

nieznośny. Po co było przynosić to wstrętne zwierzątko?

— Przedewszystkiem nie jest ono wcale wstrętne — przeciwnie nazwać je można prześlizcznym, następnie nie będzie sprawiała hałasu, gdyż będę ją sama pielęgnowała — zapewniała Zosia.

— Służąca uśmiechnęła się z niedowierzaniem.

— Bardzo mi żal w takim razie biednego stworzonka, napewno je panienka zamorzy — rzekła po chwili.

— Co za myśl! Będę ją karmiła orzechami, chlebem, cukrem, winem — mówiła Zosia z zapalem.

— To wszystko na nic się nie przyda — żartowała służąca. Od cukru popsuje sobie zęby, winem się upije.

— Cha! Cha! Cha! — śmiał się Pawełek. Wiewiórka pijana! To ci dopiero będzie heca!

— Wcale nie, moja wiewiórka nigdy się nie upije, będzie bardzo rozsądną — odburknęła Zosia.

— To się dopiero pokaże — powiedziała służąca — tymczasem przyniosę jej siana, żeby mogła się przespać. Ma bardzo wystraszoną minę, nie sędzę, żeby była zadowolona ze swego położenia.

— Będę ją pieściła, oswoi się ze mną —

odrzekła Zosia i to mówiąc wsunęła rączkę do klatki. Wiewiórka cofnęła się w kąt. Zosia zamierzała ją wziąć na ręce, ale nagle uczuła mocne ukąszenie w palec. Dziewczynka krzyknęła i wyciągnęła rączkę krwią zbroczoną. Przez drzwiczki otwarte wiewiórka wyskoczyła na podłogę i poczęła krążyć po pokoju. Pawełek i służąca poczęli ją gonić, ale umiała wymknąć się im z rąk. Zosia, zapominając o zranionym palcu, chciała im przyjść z pomocą i w ten sposób dobre pół godziny trwało polowanie, wreszcie wiewiórka zaczynała być zmęczoną i zdawało się, że już da się schwytać, gdy nagle zauważyła otwarte okno i jednym susem wskoczyła aż na mur za oknem, a po chwili już była na dachu.

Zosia, Pawełek i służąca wybiegli do ogrodu i dostrzegli wiewiórkę siedzącą wysoko, widocznie ogromnie znużoną.

— Co teraz począć? — pytała Zosia.

— Trzeba ją zostawić w spokoju — odparła służąca. Widzi panienka, że już wiewiórka ugryzła ją w rękę.

— To dlatego, że mnie jeszcze nie zna, ale jak się przekona, że ją karmię, oswoi się ze mną i przywiąże się prędko.

— Nie sędzę, żeby się przywiązała do ciebie, moja Zosiu — rzekł Pawełek — gdyż nie będzie się mogła przyzwyczaić do nie-

woli. Trzebaby chyba wychować ją od młodu.

— Ach, Pawełku, rzuć proszę cię piłkę w górę, żeby zmusić wiewiórkę do zejścia z dachu — wołała Zosia.

Pawełek spełnił jej życzenie i cisnął piłkę tak zręcznie, że trafił wiewiórkę w czoło. Po chwili piłka spadła na ziemię, podskakując kilkakrotnie, a w ślad za nią stoczyła się wiewiórka, rozbijając sobie głowę o kamień. Leżała teraz martwa zakrwawiona, mając nogi połamane, w całą długość rozpostarta na ziemi.

Dzieci pochyliły się nad nią przerażone.

— Niedobry Pawełku! To ty jesteś przyczyną jej śmierci — zawołała Zosia.

— Czyż nie prosiłaś sama, abym piłką ją spłoszył? tłómaczył się Pawełek.

— Trzeba było tylko ją wystraszyć a nie zabijać — rzekła Zosia.

— Nie myślałem że tak celnie trafię, przecież nie chciałem zabić.

— Idź sobie ztąd! Jesteś bardzo niedobry! Wcale cię już nie kocham, mówiła Zosia.

— Ja ciebie również — odparł Pawełek. Ogromnie się cieszę, że niebędziesz mogła dręczyć biednego stworzenia!

— O, tak! Jesteś bardzo niedobry cią-

nęła Zosia. — Nigdy już nie będę się bawiła z tobą i o nic cię nie poproszę.

— Tym lepiej. Będę miał święty spokój — odciął się Pawełek. Nie potrzebuję sobie łamać głowy na pomaganie ci w robieniu przeróżnych nedorzecznosci.

Służąca wmieszała się do tej sprzeczki i rzekła:

— Zamiast się kłócić, przyznajcie żeście winni oboje. Po co było więzić tę nieszczęsną wiewiórkę, a potem łapać ją? Teraz przynajmniej ma spokój większy niż przywasza życia, gdyż już skończyły się jej męki. Zaraz zawołam ogrodniczkę, żeby sprzątnął biedne stworzenie i rzucił do jakiego rowu, panienska niech idzie do swego pokoiku i potrzyma paluszek w zimnej wodzie, a ja tam zaraz przyjdę.

Zosia pobiegła na górę, a za nią Pawełek, który był zacny cłopaczek, nie żywiący długo urazy, więc zamiast się dąsać, pomógł Zosi nalać wodę do miski, w którą zanurzyła wnet rękę. Służąca zawiązała następnie zraniony paluszek dziewczynki czystym gałgankiem płóciennym.

Dzieci były nieco zawstyżone, gdy zapytane przy obiedzie, musiały opowiedzieć smutne zakończenie przygody z wiewiórką. Drwiono z nich trochę, kłatkę wyniesiono

znów do lamusa. Zraniony paluszek dolegał jeszcze Zosi przez dni kilka, poczem nie myślała już wcale o wiewiórcie i nie pragnęła ją posiadać.

Żółw.

Zosia lubiła zwierzęta, ale nie pozwoliła jej trzymać pieska z obawy, żeby się nie wściekł.

— Jakież bym mogła chować stworzonko? pytała dziewczynka. Chciałabym mieć jakieś nie szkodliwe, które by nie mogło łatwo uciec i nie było trudne do pielęgnowania.

— Chyba żółw byłby najodpowiedniejszy, odpowiedziano jej z uśmiechem.

— To prawda—zawołała Zosia. — Żółw jest ogromnie sympatyczne stworzenie i nie ma obawy, że zemknie szybko, bo zawsze można go dogonić.

Stało na tem, że Zosia dostanie żółwia na wychowanie, jeśli będzie grzeczną i jeżeli nie zamorzy go głodem przez roztrągnięcie.

Pawełek żartował z Zosi, pytając co będzie robiła z tak wstrętnem stworzeniem.

— Zobaczysz jak to będzie zabawne żywić go sałatą, wynosić na zieloną trawkę—zapewniała Zosia.

Nazajutrz przyniesiono żółwia wielkości talerza. Wypukły grzbiet, wyglądał jak pokrywa do nakrywania półmisków. Kolor jego był brudnawy, głowę i łapy miał schowane.

Jakież to obrzydliwstwo! Krzyknął Pawełek.

— A ja znajduję, że ten żółw jest bardzo ładny—odrzekła Zosia nieco urażona.

— Ma szczególnie miły wyraz i uśmiech uroczy—drwił Pawełek.

— Ty zawsze ze wszystkiego żartujesz—mówiła Zosia z niezadowoleniem,

— Najwięcej podoba mi się jego gracia i chód lekki—ciągnął Pawełek w tym samym drwiącym tonie.

— Przestań, proszę, — zawołała Zosia, łatwo unosząca się gniewem — zabiorę mego żółwia ztąd, jeżeli będziesz go wyśmiewał.

— Zabierz, zabierz, tem lepiej dla mnie. Nie będę się wcale o to gniewał — śmiał się chłopak.

Zosia miała wielką ochotę dać mu porządnego klapsa, ale się powstrzymała w porę, rzuciła tylko piorunujące spojrzenie na kuzynka. Chciała zanieść żółwia do ogrodu i położyć na trawie, ale był zbyt ciężki, stała więc nad nim bezradna.

Pawełkowi żal się zrobiło, że tak dokuczał Zosi, więc ofiarował swą pomoc, doradził włożenie żółwia do chusteczki i za-

niesienie go w ten sposób we dwoje z wielkimi ostrożnościami do ogrodu.

Pomysł ten trafił Zosi do przekonania. Żółw został umieszczony na murawie i poczuwszy ziemię pod sobą, wyciągnął mordeczkę i łapy, poczem gryzł trawę. Zosia i Pawełek przyglądali mu się ze zdumieniem.

— A widzisz, że mój żółw nie jest taki głupi i niemrawy, jak sądziłeś — zawołała Zosia uradowana.

— Masz słuszość, ale przyznaj, że wstrętnie brzydki — odparł Pawełek.

— To prawda, że ładny nie jest, ma bardzo brzydką głowę.

— I potworne łapy — dorzucił Pawełek.

Dzieci pielęgnowały żółwia przez dni kilka. Jakoś nic osobliwego nie przytrafiło się w tym czasie. Żółw sypiał na sianku w kąciku, gryzł trawę i sałatę i zdawał się zupełnie szczęśliwy.

Pewnego ranka Zosi przyszło dogłowy, że wobec gorąca żółw pewno chętnie użyłby kąpieli. Powiedziała o tem Pawełkowi.

— Możebyśmy go wykąпали sami w sadzawce, woda w niej jest świeża i czysta.

— Może mu kąpiel zaszkodzi? — zapytał Pawełek.

— Przeciwnie, żółwie bardzo lubią ką-

piel, będzie nią zachwycony — utrzymywała Zosia.

— Zkąd wiesz o tem? Mam wrażenie, że żółwie nie lubią wody.

Jestem pewną że lubią; czyż raki nie lubią wody? A ostrygi? Żółwie coś mają z niemi wspólnego — zapewniała Zosia i zabrawszy swego ulubieńca, który spokojnie wygrzewał się na słońcu, zaniósła przy pomocy Pawełka do sadzawki i wrzuciła z impetem.

Jak tylko żółw poczuł wodę, szybko wysunął głowę i łapki starając się wyzwolnić, ale mu się to nie udawało. Dzieci przestraszone pobiegły do ogrodnika prosząc, żeby żółwia ratował.

— Nic już z niego nie będzie — rzekł ogrodnik, wiedząc, że żółwie pływać nie mogą. Wskoczył jednak do niezbyt głębokiej sadzawki i wyciągnął nieszczęśliwe stworzenie ledwie żywe, poczem zaniósł do izby i położył przy ogniu, żeby obeschło. Żółw schował głowę i łapy i nie poruszał się wcale. Po ogrzaniu chcieli go dzieci zanieść z powrotem na trawę.

— Już ja sam go tam położę, ale coś mi się widzi, że nic jeść nie będzie — twierdził ogrodnik.

— Czyżby mu kąpiel zaszkodziła? — pytała Zosia zaniepokojona.

— A jużciż — odparł ogrodnik — to nie d żółwi przyjemność.

— Czy sądzicie, że kąpiel odchoruje? — pytał Pawełek.

— Nie wiem czy odchoruje, ale pewnie zdechnie odrazu — odrzekł ogrodnik spokojnym tonem.

— O mój Boże! — zawołała Zosia ze smutkiem.

— Nie przerażaj się, Zosieńko, jemu się zdaje, że żółwie tak jak koty nie znoszą wody — uspokajał ją Pawełek.

Ogrodnik odszedł, a dzieci stały wciąż nad żółwem, czekając aż się ruszy. Zosia patrzyła niespokojnie, chciała koniecznie dać mu pożywienie, ale żółw miał głowę schowaną w skorupie i ani drgnął.

— Poczekajmy trochę — mówił Pawełek — jutro napewno będzie jadł i spacerował powolutku.

Wieczorem dzieci zaniósły żółwia na siano w kącie pokoju i położyły sałatkę świeżą. Nazajutrz ujrzały, że pozostała nieknięta, żółw jej nie dotykał wcale.

— To dziwne, zazwyczaj je przez noc całą — rzekła Zosia.

— Zanieśmy go na trawę — odrzekł Pawełek — może on nie lubi sałaty.

Chłopczyk przyglądał się uważnie, żółw

wydawał mu się nieco podejrzanym, ale nie chciał martwić Zosię zawczasu.

— Zostawmy go na murawie niech się grzeje w słońcu—dorzucił Pawełek.

Dwa dni trwało to wynoszenie i wnoszenie żółwia na legowisko. Ani razu nie zjadł przygotowanej dla siebie strawy, wreszcie trzeciego dnia zauważyły dzieci, że żółw strasznie cuchnie. Ogarnęło je przerażenie.

— Co się stało? zapytały panie zbliżając się do nich.

— Zdaje się, że żółw już nie żyje—rzekł Pawełek z westchnieniem.

— Od czegoż zginął? Chyba nie z głodu, bo codziennie spoczywa na trawce.

— Może od zimnej kąpieli—szepnęła Zosia.

Zkądże znów ta kąpiel przyszła wam do głowy?

— Bo ja wrzuciłem go do sadzawki—odpowiedziała Zosia—myślałam że żółwie lubią wodę. Ogrodnik wyłowił dość prędko biedne stworzenie.

Zawsze jakieś dzikie pomysły przychodzą ci do głowy—rzekła matka Kamilki i Madzi. Na przyszłość już żadnych stworzeń pielęgnować ci nie pozwolę. Trzeba copędzej wyrzucić tego żółwia, gdyż woń jego jest odrażająca.

W ten sposób zakończyła się przygoda

Zosi, szukającej wciąż jakiegoś miłego zwierzątka do przyswojenia. Miała jeszcze wielką ochotę zająć się hodowaniem morskich świnek, które widziała na folwarku, ale stanowczo nie pozwolono jej na nowe próby.

Policzek podrapany.

Zosia łatwo unosiła się gniewem i nie umiała poprawić się z tej brzydkiej wady.

¶ Pewnego dnia malowała obrazki w książeczce, podczas gdy Pawełek wycinał z kart koszyki i różne figury. Siedzieli naprzeciw siebie. Pawełek wymachiwał nogami, potrącając wciąż stolik.

— Uważaj—krzyknęła Zosia zniecierpliwiona—trącasz stół i nie mogę wcale malować.

Pawełek zachował się chwilę spokojnie, ale zapomniawszy się, znowu zaczął wymachiwać nogami.

— Jesteś nieznośny! zawołała Zosia — powiedziałam ci już raz, że mi przeszkadzasz.

— Dla twoich pięknych malunków nie warto się krępować—odpowiedział przekornie Pawełek.

— Wiem, że nie lubisz się krępować—odparła dziewczynka — ale wobec tego, że mi szalenie przeszkadzasz, proszę cię o spokojne zachowanie.

— Moje nogi nie słuchają mię wcale—

rzekł Pawełek drwiąco—ruszają się wbrew mej woli.

— Przywiążę je tasiemką, jeżeli będą fikały, a ciebie wygnam ztąd natychmiast—krzyknęła Zosia zaperzona.

— Sprobój, sprobój, zobaczysz co one potrafią, drwił dalej Pawełek.

— Myślisz mnie uderzyć nogą? Ach, ty niegodziwcze!... miotała się Zosia coraz bardziej rozgniewana, wygrażając mu pięścią.

— Naturalnie, o ile masz zamiar uderzyć mię tą piastką—odpowiedział spokojnie Pawełek.

Zosia, nie posiadając się ze złości, chwyciła szklankę wody, w której płókała pędzelki i chlusnęła nią w twarz chłopca, ten zaś, oburzony, uderzył tak mocno w stół nogami, że wyróciły się wszystkie malarskie przybory Zosi. Wówczas nastąpiło straszne zamieszanie. Zosia rzuciła się na Pawelka, drapiąc mu twarz do krwi.

— Powstał wrzask nieopisany. Krzyczał Pawełek, wrzeszczała Zosia, z pasją kopiąc go i dając klapsy.

Pawełek nie lubił wdawać się w bójki z dziewczątkami, uciekł więc do przyległego pokoju i zamknął drzwi na klucz.

Zosia szarpała je, ale napróżno. Wreszcie ostygła nieco, złość jej przeszła, poczęła mocno żałować, że doszło do takiej awan-

tury z kuzynkiem, którego w gruncie rzeczy bardzo lubiła.

— Biedny Pawełek, jak źle z nim postąpiłam—mówiła do siebie. Co tu zrobić, żeby się na mnie nie gniewał? Niechce mi się go przeproszać, bo to nudna historia, ale jeżeli nie poproszę o przebaczenie, będzie się na mnie dąsał, a przecież jest naszym gościem:

Zastanowiwszy się chwilę, Zosia wstała i podeszła do drzwi zamkniętych. Tym razem zbliżała się bez zaciętości i gniewu ale z minką słodką i uśmiechniętą zapukała zlekka, mówiąc:

— Pawełku, Pawełku, przebacz mi, mój drogi, bardzo mi przykro, że uniosłam się niepotrzebnie. Zapewniam cię, że to się już nigdy nie powtórzy.

Drzwi otworzyły się i głowa Pawełka wysunęła się powoli. Pawełek popatrzył na Zosię z nieufnością.

— Już złość twoja przeszła? zapytał.

— O tak, tak, żałuję mocno tego co się stało—zapewniała Zosieńka.

Pawełek otworzył teraz drzwi na oścież i Zosia ujrzała jego twarz strasznie podrapaną. Zdjął ją żal i rzuciła mu się na szyję ze łzami w oczach.

— Ach, mój biedny Pawełku, jakże mogłam cię tak zranić! wołała Zosia. Co po-

cząć, aby ciebie prędko wyleczyć? Czem to się goi rany?

— Nic mi nie będzie, przejdzie samo, odpowiedział chłopczyk. Tylko trzeba zaraz obmyć twarz, aby śladów krwi nie zostało.

Pobiegli oboje szukać wody, Pawełek zanurzył twarz w misce, wycierał mocno policzki, ale ślady podrapania były wciąż wyraźne, co Zosię doprowadzało do rozpacz.

— Co powiedzą starsi? Pewno porządnie zostaną ukarane, powtarzała Zosia, nie wiedząc jak wybrnąć z tak przykrego położenia.

Pawełek, mając bardzo dobre serce, myślał też nad tem jak objaśnić to nagłe poranienie twarzy i ochronić Zosię od czekającej ją bury.

— Nie mogę powiedzieć, że wpadłem w ciernie—rzekł po chwili—ale poczekaj, mam pomysł. Zaraz zobaczysz.

I to rzekłszy, Pawełek pobiegł co tchu do lasku w pobliżu domu położonego, Zosia dopędziła go tam i ujrzała, że rzucił się na krzak tarniny i począł się tarzać po nim. W ten sposób miał całą twarz jeszcze bardziej podrapaną, przytem ręce nosiły także ślady cierni.

Ujrzawszy go w tak oplakanyim stanie, Zosia rozplakała się na dobre.

— To ja jestem przyczyną twego bólu, cierpisz przezemnie—wołała zanosząc się od płaczu—chcesz mię ochronić od zasłużonej kary. Jesteś niezmiernie dobry, Kocham cię za to bardzo, bardzo...

— Wracajmy prędko do domu, muszę jeszcze umyć się dobrze, nie martw się Zosieńko, uspakajaj ją Pawełek. Zapewniam cię, że zupełnie bólu nie czuję. Proszę cię tylko nie mów o tem nikomu, żeś mię podrapała. Gdybyś powiedziała komukolwiek, zasmuciłabyś mnie wielce i nie miałbym satysfakcji z udrapnięć umyślnych cierniami. Czy przyrzekasz mi to?

— Uczynię wszystko co zechcesz—odrzekła Zosia.

Powrócili do dzieciennego pokoju, gdzie Pawełek umył znów twarz zimną wodą. Gdy weszli do salonu, wszystkich uwagę zwróciły świeże ranki na twarzy Pawelka.

— Cóż ty robił Pawelku?—zapytała jego matka z przerażeniem. Wyglądasz, jakbyś był cierniami pokłóty.

— Bo tak zdarzyło się w istocie—odrzekł Pawełek wesoło. Biegając szybko, wpadłem na krzak tarniny, a chcąc się z niego wyswobodzić, podrapałem sobie do krwi twarz i ręce.

— Jesteś bardzo nieuważny, jakże można biec tak bez pamięci—strofowała matka.

Upadłszy, trzeba było podnieść się powoli, starając się nie zaczepić o ciernie. Gdzież przebywała wówczas Zosia? Przecież mogła ci dopomódz, abys się nie zadrasnął.

— Zosia biegła za mną, mameczko—droga, nie miała możności dopomożenia mi, przybyła w chwili, gdy już powstałem na równe nogi.

Matka zabrała chłopca z sobą, aby mu gojącą maścią twarz posmarować, Zosia została w salonie i zapytana dlaczego ma tak smutną minę—odpowiadała wykrętnie, chociaż miała łzy w oczach. Ponieważ nalegano, żeby wyznała całą prawdę, odpowiedziała, wybuchając płaczem.

— Nie mogę nic powiedzieć... Przyrzekłam Pawelkowi, że nie powiem!...

— Jeżeli Pawełek źle postąpił, nie powinnaś go oszczędzać i zachowywać jego czyn w tajemnicy.

— Nie, nie, Pawełek w niczem nie zawinił, przeciwnie postąpił bardzo dobrze i szlachetnie, ale to ja byłam powodem tego wszystkiego. Chcąc mi oszczędzić kary, rzucił się dobrowolnie pomiędzy ciernie.

— Opowiedz że nam porządnie co to się stało? Co zaszło pomiędzy wami? dopytywały panie, poczem Zosia wyznała szczerze, że to ona w silnym wybuchu gniewu tak podrapała kuzynka.

— Jakie to zacne dziecko ten Pawełek! zachwycaly się obie panie. Jakaż to różnica pomiędzy tobą Zosiu, i tym dzielnym chłopcem, który zawsze przebacza ci wszystkie szalone wybryki i zapomina wyrządzone mu krzywdy.

— O tak, Pawełek jest daleko lepszy odemnie zawołała Zosia skruszona.—Odtąd nigdy mu żadnej przykrości nie zrobię.

— Jesteś już dostatecznie ukarana, czujesz się bardzo winną w tym wypadku, moja Zosiu, więc żadnej kary ci nie wyznaczę— rzekła pani Marja łagodnym tonem. Przytem postąpiłaś szczerze, wyznając nam całą prawdę, chociaż mogłaś ją ukryć. Oceniam to, przebaczam tobie, ale raz jeszcze cię przestrzegam, staraj się opanować swoją porywczosć wrodzoną, gdyż może ona spowodzić smutne następstwa, jak to już nieraz bywało.

Zosia przyrzekła poprawę i nigdy już nie słyszano, aby się kiedykolwiek spierała z Pawelkiem, mając wciąż na myśli jego pełne współczucie dla niej poświęcenie.

MILUŚ I KOS

Zosia i Pawełek powracali razem od ubogiej kobiety, której zanieśli jałmużnę. Szli powoli, zatrzymując się, by wdrapać się na drzewo, lub przeskoczyć przez płot. Bawili się też w chowanego. Zosia właśnie ukrywała się w krzakach, a Pawełek ją szukał. Nagle usłyszała żalosne miauczenia. Przestraszyła się i wyszła z ukrycia.

— Pawelku — rzekła — przywołajmy służącą, tam coś piszczy za krzakiem.

— Po co mamy przywoływać kogoś na pomoc? Czyż nie damy sobie rady? — odrzekł Pawełek—chodźmy razem i zobaczymy co to jest.

— Boję się, że tam może być wąż, albo wilczek młody — mówiła Zosia.

— A to dobrze sobie! — rzekł Pawełek rozśmieszony, wąż syczy, a nie piszczy, a wilczek nie odzywałby się znów tak cicho, że nawet ja, będąc tak blisko, nie słyszałem nic wcale.

W tej chwili odezwało się znowu ciche miauczenie. Pawełek podążył w tę stronę i znalazł małego kociaka, który miał bardzo nieszczęśliwą minę. Był biały, ale zmoczony

rosą z zabrukanyymi błotem łapkami wyglądał oplakanie.

— Jakież on chudy, jak drży cały? — zawołał Pawełek.

Zosia przywołała idącą za nimi zdala służącą i pokazała jej kotka, mówiąc, że go chce zabrać do domu.

— Jak tu nieść takiego brudasa? — odpowiedziała dziewczyna.

— Zerwij kilka dużych liści i umieść go na nich — rzekła Zosia.

— Jeszcze lepiej będzie włożyć go w moją chustkę do nosa — dodał Pawełek.

— Dobra myśl. Wytrze się kociaka moją chusteczką, a potem zanieś się w swojej — zawołała Zosia uradowana.

Kotek nie mógł prawie się ruszać. Gdy go zawinięto w chustkę, służąca wzięła kociaka na ręce i szybko wszyscy troje skierowali się ku domowi. Zosia pobiegła przodem i, wpadłszy do kuchni poprosiła kucharkę, żeby nalał na spodek mleka.

— A to na co? zapytał zdziwiony.

— Dla biednego koteczka, którego znaleźliśmy pod płotem umierającego z głodu. Oto właśnie przyniosła go Marysia — rzekła Zosia wskazując na zawiniątko.

Kucharz napełnił spodek ciepłym mlekiem i postawił na ziemi. Kotek zaczął wnet pić z takim apetytem, że po chwili nie po-

zostało już ani odrobiny. Dzieci chciały koniecznie zabrać kotka na górę do dzieciennego pokoju, ale kucharz i Marysia radzili zostawić go w kuchni, gdzie mu będzie daleko lepiej, zanim się oswoi. Zosia i Pawełek zgodzili się na to i poczęli obmyślać imię małemu znajdce.

— Nazwijmy go Filusiem — radził Pawełek.

— A może lepiej Slicznotka — powiedziała Zosia.

— A jeśli będzie brzydki? to jakoś by nie pasowało.

Naradzali się chwilę, potem zdecydowali, że mniejsza o imię, byleby kotek trochę sił nabrał, bo teraz ledwie się trzyma na nogach. Pewno jakieś niedobre dzieciaki wyniosły go tak daleko, próbując czy do chałupy powróci.

Zosia cieszyła się już na myśl, że będzie miała żywą zabawkę i zaglądała często do kuchni, gdzie Miluś gdyż tak go nazwano, wygrzewał się przy ogniu, zajadał smaczne kąski i wkrótce zrobił się puszysty i biały jak mleko. Wyskakiwał przez okno do ogrodu i, niestety, miał brzydki zwyczaj skradania się do ptaszków, a nawet przyłapano go na wyciąganiu małych piskląt z gniazdka.

Zosia i Pawełek starali się spędzać kotka z drzewa, ale umiał zawsze tak zręcznie im się wywinąć, że niepodobna było go

złapać i ukarać. Powtarzało się to przez parę miesięcy. Pewnego dnia przyniesiono do salonu klatkę złoconą, w której był kos uczony; wyśpiewywał on kilka piosenek, co wprawiło dzieci w niezmierny zachwyty.

Starsi poradzili im pójść do ogrodnika i przynieść jagody, które kosy bardzo lubią. Dzieci z radością pobiegły i powróciły z całym koszykiem jagód.

Miały też nałapać muszek, ale podano właśnie do stołu i wszyscy zasiedli do obiadu, który przeciągnął się dość długo. Po obiedzie, gdy powrócono do salonu przykry widok przedstawił się oczom zgromadzonych. Psotny kotek potrafił łapką otworzyć drzwiczki klatki i chwyciwszy ptaka za gardło wyciągnął go na stół a ztamtąd na ziemię. Ptak trzepotał jeszcze skrzydłami, ale kot wystraszony widokiem ludzi schował się pod fotel ze swym łupem. Natenczas ojciec Pawełka począł go pędzić laską. Kot z ptakiem w zębach wymknął się przez drzwi uchylone. Goniono go po pokojach i korytarzu, wreszcie padł pod silnie wymierzonym ciosem, wypuszczając ptaka, który już prawie nie dawał znaku życia, ale i sam przyplacił życiem swą zaborczość. Przerażone dzieci stały nad biednym ptaszkiem, leżącym ze zwieszoną głową, a niemniej ból im ścisnął serduszka widząc białego, dobrze już odcho-

wanego kota wyciągniętego w całej długości na podłodze. Drapieżnik poległ w nierównej walce i długo dzieci nie mogły zapomnieć tej sceny, żal im było niezmiernie ślicznie śpiewającego ptaszka, a zarazem figlarnego i pełnego wdzięku białego Milusia.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

I	Kamilka i Madzia	5
II	Przechadzka i wypadek na gościńcu . .	6
III	Stokrotka	14
IV	Zamiar wspólnego pożycia	16
V	Kwiaty zerwane i zastąpione nowymi . .	20
VI	W rok później.—Pies wściekły	28
VII	Kamilka ukarana	30
VIII	Jeże	40
IX	Gruszki skradzione	53
X	Zmoknięta lalka	64
XI	Złodziejstwo Joasi.	73
XII	Zaprosiny Zosi	80
XIII	W warzywnym ogrodzie	88
XIV	Odjazd	94
XV	Zosia zjada wilcze jagody i co z tego wy- nikło	100
XVI	Na pokucie	108
XVII	Nazajutrz	119
XVIII	Szczygiełek	123

XIX	Iluminacja	129
XX	Uboga kobieta	135
XXI	Franciszka z córką na nowej siedzibie . .	144
XXII	Zosia pragnie ćwiczyć się w miłosierdziu	152
XXIII	Pomoc niespodziana	162
XXIV	Odwiedziny u Hurelów	167
XXV	Tragiczny wypadek	171
XXVI	Ospa	179
XXVII	Teatr amatorski i zabawa na dworze . .	182
XXVIII	Wycieczka na osłach	187
	Różne przygody Zosi i jej kuzyneczka Pa- welka.	194
	Policzek podrapany	210
	Milus i Kos	217

40 000, —

1856 ПКД

1896 110

...EMENTS...